№ 47 Warszawa, dnia 10 (22) Listopada roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Z Pobereża.

Pomimo iż tak wiele napisano o Kraszewskim, stanowisko i znaczenie tego potentata w naszéj literaturze nie są jeszcze jasno i wiernie określone. „Znakomity pisarz“ powiadają jedni; „utalentowany powieściopisarz“ twierdzą drudzy; „napisał setki tomów„ wołają ze zdumieniem trzeci, „wypędził cudzoziemczyznę z salonów“ wskazują czwarci...

Tak, jest w tem wszystkiem nieco prawdy, lecz nie ma Kraszewskiego.

Wiemy czem byli Mickiewicz, Krasiński, Pol, Słowacki; nie wiemy czem jest Kraszewski. Krytyka nasza nie wie jaką miarą go mierzyć...

— I to rzecz bardzo naturalna. Zaiste, dziwny to, zagadkowy umysł tego człowieka: zimny, spokojny, badawczy rozum, połączony z najbujniejszą wyobraźnią, jaka kiedykolwiek istniała na świecie; twórczość piorunująca poety obok rozwagi badacza... Nie wiadomo, co w nim bardziéj podziwiać należy, czy tę ścisłość i trzeźwość myślenia, która każdą rzecz najwznioślejszą i najlichszą, z jednakową dokładnością i jasnością upostaciować zdoła...

Badacz, historyk, archeolog, malarz, estetyk, psycholog powieściopisarz, komedyopisarz, czemże jest właściwie ten człowiek?

S. p. Bartoszewicz w swojéj Historyi literatury powiedział, iż jest on poetą niezmiernym w prozie, jakkolwiek zarzuca mu, „iż zbyt wdawał się w poezyą.“ Poeta więc zgrzeszył tem, że wdawał się w poezyą. Dziwaczny to nieco zarzut...

Tyszyński w Ateneum, oceniając „powieści historyczne“, może najstosowniéj określił ich autora. „Kraszewski, powiada, jest dziś jednym z naszych pierwszorzędnych poetów, lubo nie w szacie rytmu; lecz oto poezya rytmiczna miała i ma w nim niepowszedniego, i zdaniem naszem, nie średniéj tylko wielkości swego przedstawcę.“

Pogląd świetny, lecz ocenienie za abe.

Kraszewski, pomimo wielostronn swojéj, jest przeważnie poetą, potęgą twórczą rwszorzędną, jest wielkim poetą. Wyróżnia się nak zbyt dobitnie z grona innych poetów i ta rębność jego stała się powodem, iż krytyka nasza waha się, jak go ocechować i gdzie umieścić. To sfinx dla niéj.

Nie potępiam wcale naszych krytyków, duch bowiem Kraszewskiego jest zdumiewającą zagadką, zbyt trudną do ujęcia i odpowiedniego rozwiązania. Uzbrojony umysłowym skalpelem i szkiełkiem, Kraszewski kraje, bada, analizuje, rozmyśla, babrze się w rzeczywistości; lecz zaledwie skończy tę pracę, umywa ręce, zasiada przy biórku, i piorunująca wyobraźnia jego, jak wulkan, wyrzuca setki obrazów, zdumiewających zarówno prawdą, jak i artyzmem wykonania.

Kraszewski jest poetą, realistą w najrozleglejszém i najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu, jest poetą, estetykiem, realistą. Takich poetów ludzkość niewielu wydała. Nasz Kraszewski łączy w sobie w równéj mierze dwa wręcz przeciwne kierunki: trzeźwą analizę badania i ognistą syntezę tworzenia.. To jego przewiléj i rzeczywista cecha.

Nie chcę przez to powiedzieć, iżby Kraszewskiemu brakowało uczucia, bo ktokolwiek choć pobieżnie przeczytał jego „Tułaczy“ tę krwią i łzami na pisaną epopeę, poznał zapewne, jaka to głębia uczucia tkwi w duszy tego człowieka. Jest w nim pierwiastek liryczny, lecz liryzm jego, to jak woń kwiatów miły dodatek do kształtów i barwy.

Kraszewski jednak nie tworzy na zimno cała gamma uczuć brzmi w utworach jego. Człowiek ten nie tylko myśli i tworzy, lecz czuje, boleje, śmieje się, drwi i płacze razem, lecz robi to właściwy sposć iż niepodobna stanowczo okre czego więcéj w utworach jego: łez, ironii, czy ś chu?

Muza Mickiewicza szła w parze z mistycyzmem; muza Krasińskiego z filozofią; Słowackiego, z jałowém marzycielstwem; Pola, z tęsknicą za przeszłością; muza Kraszewskiego idzie w parze z trzeźwem milczeniem. Poezya jego, to poezya rzeczywistości: jak rzeczywistość rozległa, jak rzeczywistość różnobarwna i wielostronna, jak rzeczywistość potężna i nieskończona... Dla takiéj poezyi i pięćset tomów za mało...

Rzecz jasna, że odrębny geniusz Kraszewskiego musiał wynaleźć dla siebie i odrębny sposób tworzenia.

Tak się téż stało. Twórczość jego bardziéj zdumiewa rodzajem, niż ilością.

Wiadomo, że poeci tworzą pod wpływem wrażeń i okoliczności, które ich w życiu otaczają. To też dzieła ich po większéj części, oprócz twórcy, w zasadzie i w planie nie mają nic spólnego Są to rzeczy oddzielnie pomyślane i mniéj lub więcéj wykończone. Giaur, Manfred i Don-Żuan Bajrona, Faust, Herman i Dorota Goethego, są to utwory całkiem różne i z odmiennych pobudek napisane.

Kraszewski i pod tym względem stanowi wyjątek: wszystkie utwory jego, nawet prace przygotowawcze (oprócz korespondencyi) wypływają z jednego z góry powziętego planu. Zamierzył on odtworzyć cały nasz naród, odtworzyć go wszechstronnie, zarówno w chwili obecnéj, jak i w przeszłości, odtworzyć takim, jakim był i jest w rzeczywistości pod względem dziejowym, społecznym, rodzinnym, obyczajowym, odtworzyć całkowicie w obrazach, typach, charakterach, zaletach, wadach, drobiazgach i w otoczeniu téj ziemi, na któréj przez lat tyle żył i pracował...

Zadanie olbrzymie, i tylko tytańska siła Kraszew-

skiego na takie zadanie porwać się mogła. Śmiało też i bez przesady dziś powiedzieć możemy, iż nic podobnego nie znajdujemy w żadnéj literaturze, nawet najbardziéj ucywilizowanych narodów.

Pięćdziesiąt lat pracował ten człowiek, pięćdziesiąt lat skupiał wszystkie siły swojéj genialnéj duszy, i z żelazną, prawie nieludzką wytrwałością, pomimo przeszkód i nieprzyjaznych okoliczności, wszędzie i zawsze dążył do ulubionego celu.

I trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż dokazał swego. Jeszcze kilka historycznych powieści i olbrzymia budowa w całéj okazałości stanie przed nami. Posiadamy już cykl obrazów z czasów obecnych, cykl obrazów z XVIII wieku, cykl epoki Saskiéj i Jana Sobieskiego, cykl z epoki nieszczęść narodowych. Obecnie Kraszewski wykończa cykl z zamierzchłéj przeszłości. Cały naród w obrazach, typach, sprawach i postaciach! Wspaniała galerya narodowa, potęgą jednego człowieka skreślona...

Zaiste wielka to potęga...

Powiedziałem, galerya... Tak; bo w istocie utwory Kraszewskiego nie są "powieściami" w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu. Kraszewskiemu ani się śniło pisać bajeczki ad usum zdenerwowanych pań i żądnéj wrażeń gawiedzi. Wielki badacz spraw i ducha narodowego, a zarówno wielki poeta, wyniki badań swoich przeoblekał w szatę nadobną i przystępną, w obrazy, opowiadania, opowieści w rapsody sui generis. Napozór lekkie to, połyskujące, mieniące się grą barw i kształtów, lecz w gruncie wszystko tam wystudyowane, obmyślone i we właściwem oświetleniu postawione. To nie tylko „komedya ludzka"; to komedya, dramat i tragedya naszego życia narodowego. Można się uśmiać do syta, ale też i płakać mimowoli potrzeba; a myśléć, myśléć... do nieskończoności można, byle chęci starczyło.

W obec takiego ogromu zadania, mógłże Kraszewski pisać mową rymowaną? Nie; to było niepodobieństwem. Rymuje on wprawdzie z łatwością i spory poczet utworów rymowanych napisał, poznał jednak prędko, że w mowie wiązanéj niewszystko oddać można. Stworzył więc dla siebie odrębny styl, styl Kraszewskiego, coś średniego między wierszem a prozą. Język to potoczysty, lekki, barwny, jędrny i treściwy; to jak rzeka płynie, to racą dowcipu wystrzeli, to promieniem słońca oświetli, o wszystko wypowie, wszystko do drobiazgów odwzoruje. Można pisać poprawniéj, lecz niepodobna pisać dobitniéj i wyraźniéj; niepodobna lepiéj *malować* słowami...

Takim jest Kraszewski. Czy, jako człowiek jest bez wad, a utwory jego nie mają usterek?

Któżby to twierdził? Któż na téj ziemi jest bezwarunkowo doskonałym? Wszelako wady i usterki Kraszewskiego zbyt są drobne, w porównaniu do zasług i wielkości jego.

Na biegunach naszéj nowszéj poezyi stoją dwa olbrzymy: Mickiewicz na jedném, Kraszewski na drugim, zarówno wielcy, jakkolwiek całkiem niepodobni do siebie; ach, tak niepodobni, jak niepodobny zachwyt i mistyzm do trzeźwego myślenia, jak niepodobny płomień uczuć do płomienia wyobraźni...

Mamy więc piękne święto w naszéj literaturze. Nie mieliśmy jeszcze takiego święta. Pół wieku wytrwałéj, twórczéj, wielostronnéj pracy, to fenomen nie lada! A gdyby nas zapytano co właściwie świętujemy? odpowiemy krótko i jasno:

Świętujemy sojusz pracy, wiedzy i poetycznéj twórczości, najwznioślejszy sojusz, jakim ludzkość poszczycić się może, a obecnie uosobiony w naszym wielkimczłowieku.

Cześć i długi żywot Mu od spółczesnych! Cześć i sława w potomności!

W MAJU.

(Poświęcam panu Mikołajowi S.)

Jasna ciepła noc majowa...
Księżyc się promieni...
Gwiazdka błyśnie, to się schowa...
Łąka się zieleni...
Na krużganku on i ona,
Wiosny tchem owiani,
Niby gruppa wyrzeźbiona,
Stoją zadumani...
Blask księżyca dal przystraja
Srebrzystą powłoką;
Wietrzyk muska, woń upaja,
Widok pieści oko...
Stoją, patrzą... Tło olśnione
Migą przed oczyma...
A westchnienie zatajone
Pierś łagodnie wzdyma...
W koło cisza uroczysta,
Głuchy sen na ziemi;
W górze otchłań przezroczysta,
Z promieniami swemi...
Myśl się budzi, duch się wznosi
W obec cudów Boga...
Serce tęskni, serca prosi...
W piersi rzewność błoga...
Pasmo światła na błękicie,
Srebrnych chmurek cienie,
I ta wonność pól w rozkwicie,
Budzą zachwycenie...
Umysł buja, dusza marzy,
Troska życia znika,
I gdzie światów ruch się waży
Lotna myśl przenika...
Ach, ten bezmiar nieskończoność,
Wieczny wir i życie;
Miara, ścisłość, wykończoność,
Wzięte należycie...
Myśl się wikła i zatraca
W obec téj zagadki,
I strwożona wnet powraca
Wstecz do ziemi, matki...
Tu bezpieczniéj, tu swobodniéj,
Ogrom nie przygniata...
I zagadka tu łagodniéj
Umysł nasz oplata...
Lśni kraina w świetnéj szacie
Z blasku, mgły i cieni,
A odległych gór postacie
Nikną śród przestrzeni...
Wzdłuż na krańcach mgliste pasy
Ścielą się i chwieją...
Drzemią pola, drzemią lasy
I ochłodą zieją...
Widok wabi, urok nęci,
Powiew łechce skronie;
I w dumaniu mimo chęci
Dusza w sobie tonie...
Ach tam inna nieskończoność
Również zagadkowa:
Czucie, wola, myśl, uczoność,
Namiętności, mowa...
Gdzie wytryska ta potęga,
I gdzie koniec ducha,
Co w otchłanie bytu sięga,
Z nieba natchnień słucha?
Któż przeniknie, kto go zbada,
Czém jest w swojéj treści?
Jak się tworzy, z czego składa,
Gdzie go zgon umieści?...
Precz zagadki!... Noc pogodna
Wdzięki swe roztacza;
A przejrzystość jéj łagodna
Czarem kraj otacza..
Fantastyczna jéj powłoka
Ostre kształty chłonie,
Cudnie lśni się dal głęboka
I w przezroczu tonie...
Jakże świat ten jest uroczy
Na tle bladych cieni!...
Jak poważnie księżyc kroczy
W todze swych promieni!...
Ledwo dysze step w uśpieniu,
Żaden liść nie gwarzy:
Ziemia śni coś w upojeniu,
Nad nią niebo marzy...
W tém gdzieś gwiazda się pomknęła,
Błyszcząc w złotym pasie,
On się ocknął, ona drgnęła
I spojrzeli na się...
I tak długo, oko w oko
Dusze ich patrzały;
Potajemnie i głęboko
Myśli, czucia wrzały...
Aż nieznacznie, niewidomie
Głowy się zbliżyły;
I niewolnie, współświadomie
Serca się zmierzyły...
A gdy w oczach ich się mienił
Urok szczęścia cały,
Księżyc jaśniéj się promienił,
Gwiazdki migotały...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego przez

Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

AKT II.

W Sewannach. Las, gęstwina; gdzie przeglądają krzaki, widok na gruppy skał. Na lewo w głębi sceny ognisko do połowy przygasłe, nad niem kocioł, wielu Tektosagów w skóry zwierząt odziani, pogrążeni we śnie leżą do koła, obok nich oszczepy, hełmy, tarcze, przewrócone puchary i dzbany w nieładzie nagromadzone; w głębi sceny, na prawo, kilka namiotów ze skór zwierzęcych.

Na prawo, w głębi sceny Ambiwar, Nowio i Trinobant, leżąc przy odłamie skały, grają w kości. W środku sceny, na lewo, śpi Ingomar pod drzewem, o którego pień oparty jego miecz i tarcza; w niejakiem oddaleniu od niego siedzi Miron na ziemi.

Ambiwar.

Wygrałem okiem więcéj!

Trynobant.

Do pioruna!
Dziwne ma szczęście.

Nowio.

Teraz na mnie koléj!

Ambiwar.

Stawka?

Nowio.

Mam źrebca czarnego u siebie,
Dwuroczniak, rączy jak wiatr! Idzie?

Ambiwar.

Zgoda!
Ja stawiam tłuste dwa skopy na przeciw.
(grają).

Miron.

To jakby w baśni! Najprzód pochłonęli
Jak wilki głodne, sutą, mięsną ucztę,
Potem się ciemnym uraczyli miodem;
Ci klapią kośćmi, tamtym znów opilstwo
Niezgrabne członki rozciągło bezwładnie
I sen ołowiem przygniata im oczy.
A jam niewolnik takich barbarzyńców
Zwierzęcych; wczora obywatel jeszcze
Wolny w Massalii, a dziś...

Ingomar (w niespokojnych ruchach, mówiąc przez sen).

Goń, dopędzaj!

Nowio.

Niewolnik, miodu!

Ambiwar (rzuciwszy kości).

Patrz, źrebca wygrałem!

Trynobant.

Dziesięć ócz!

Nowio.

Niech cię ogień spali!

Miron (do siebie).

Mało
Całego mienia na wykup z jassyru,
Do tegom stary! O gdybym był młody,
Miałbym odwagę spróbować ucieczki!
Dziś nie mam środka ocalenia.

Nowio (do Mirona z podniesioną pięścią).

Miodu!
Uszy obetnę od téj czaszki staréj;
Miodu! nędzniku!

Miron (pośpiesznie chwytając dzban i podając go Nowiemu)

Jest, jest miód.

Ambiwar.

Grajmy daléj!
Trynobant, stawka?

Trynobant.

Ten mój naramiennik!

Ambiwar.

Ja pendent stawiam przeciw. Idzie?

Trynobant.

Idzie.

Miron (oddalając się ze dzbankiem).

Jakże ja chciałbym trucizną was poić!
Nie ma sposobu, nie ma! Lecz Polidor,
Andrast, Amyntas, Elpenor, me druhy,
Pewnie tam myślą o wykupie moim!
O, nie zawiedźcie, bogi, méj otuchy,
Wróćcie mnie znowu ojczyźnie łaskawie,
I dajcie umrzéć w mieście ojców moich!

Ingomar (mówiąc przez sen).

Daléj! Bić na śmierć, bić!
(budzi się)
Co, śniłem? Szkoda;
Bój był skończony i zwycięztwo przy nas!
Jak uciekali! Jak ogromne łupy!
Co za tłum jeńców! A to był sen tylko,
Zniknął jak mara! I gdzież ten Alastor?

Trynobant.

Przegrałem! Na dziś już tego syt jestem.

Ambiwar.

Jeszcze raz!

Trynobant.

Dość mam na dziś
(powstaje zwolna i zbliża się do Ingomara).

Ambiwar.

A ty?

Nowio.

Dobrze!

Ambiwar.

Ostatnią moją dam stawkę zdobycz,
Tę Allobrożkę ładną.

Nowio

A ja stawię
Miecz, com go zdobył na tym niewolniku.

Miron (do siebie).

Mój miecz, o jasny miecz mój grają w kości!
Tak tanio nigdym nie myślał go ukuć;
Oby stal jego ugrzęzła w ich sercach!

Ingomar (który wstał tymczasem i zbliżył się do Samona).

Nuże! wstań Samo!

Trynobant.

Śpi jakby zarżnięty!
(Samo się porusza).
Héj, Samo, wstawaj!

Samo (prostując się zaspany).

Co, już czas wieczerzać?

Ingomar.

Nie, lecz już bydło czas spędzić z pastwiska,
Któreśmy w świeżym napadzie zdobyli;
Zatem przetrzyjcie swe oczy zaspane!
I daléj w łąki!

Ambiwar (podczas gdy Samo, Trynobant i inni przebudzeni już Tektosagowie oddalają się w głąb sceny).

Ja miałem więcéj!

Nowio (podobnież się podnosząc).

Nie,
Ja więcéj miałem.

Ambiwar.

Kłamiesz!

Nowio.

Ty, psie, kłamiesz!

Ambiwar (wywijając toporem).

Psa, psy kąsają!

Miron (do siebie).

Bijcie się, zduście, zgryźcie jak pająki!

Ingomar (który tymczasem zbliżył się na przód sceny).

Cóż to jest?

Nowio (pasując się z Ambiwarem).

Łotrze, morderco!

Ingomar (z przemocą ich rozrywając).

Przestańcie!

Nowio.

Kto tu śmie.

Ingomar.

Ja śmiem! ja wasz wódz z wyboru,
A więc spokojnie, ja wam rozkazuję!

Nowio.

Na bok!

Ambiwar (zamierzając się toporem).

Śmierć jego lub twoja!

Ingomar (groźnie).

Precz! mówię,
Jeden krok naprzód, a w piekło was poślę!
(Nowio się cofa, Ambiwar opuszcza wzniesiony topór).

Ingomar.

Idźcie, powtarzam! Ty się wdrapiesz Nowio
Owdzie na skały, śledząc Alastora,
Ty swym toporem urąb drew na ucztę!
Precz, mówię.

Ambiwar (mrucząc do siebie).

Dobrze, przyjdzie pora. Dobrze!
(Nowio i Ambiwar rozchodzą się w przeciwne strony).

Ingomar (patrząc za nimi).

Mnie stawiać opór, mnie? Do stu piorunów!
Dam się wam jeszcze harde dusze we znaki!
Póki od was dwóch krzepszy nie przybędzie,
Póty wasz opor zgromię tu i wszędzie,
Długie więc jeszcze dla mnie zwycięztw szlaki!
Cóż to ja chciałem? Ha, pić! Niewolniku,
Daj tu dzban z miodem!
(Gdy się napił, Miron stawia dzban na dawném miejscu).
To napój, co krzepi!
(wyciąga się na odłamie skały, na którym pierwéj grano w kości).
Teraz opowiedz wszystko, jak to było,
I skróć mi czas.

Miron.

Ja, tobie?

Ingomar.

Ale wprzód mi powiedz,
Jak się nazywasz?

Miron.

Któż? ja, Miron, panie!

Ingomar (szydząc).

„Ja, Miron, panie!“ Ćwierkasz jak szczygiątko
W gniazdku, masz minę tak kwaśną, jak gdybyś
W krzaku tarkowym był gościem! No mówże,
Co ci jest? He, he! był kańczug w robocie,
Gdy spałem, czy tak?

Miron (przestraszony).

Jakto, kańczug, panie?

Ingomar.

Bili cię?

Miron.

O, nie, panie!

Ingomar.

Więc na bogi,
Czegóż tak kwilisz, nędzny starcze? Powiedz!
Masz tu dość jadła i picia; spoczywasz
W noc na mchu miękkim a gdy się dostaniem
Do domu, kuźnię wystawim ci nową!
Będziesz się krzątał, bił młotem jak dawniéj,
I żył jak dawniéj!

Miron.

A czy liczysz za nic
Stratę wolności?

Ingomar.

Wolności powiadasz?
To śmiech mi wzbudza! Ty straciłeś wolność?
Już jéj nie miałeś, nim wpadłeś nam w ręce,
Wszak wątła starość już ci jarzmo dała;
Moc tylko wolna, młodość tylko mocna!

Miron.

A gdy jak rzekłeś, starość mię zwątliła,
To któż mię u was będzie miał w opiece?

Ingomar.

W opiece! Jestże lekarstwo na starość?
My wiemy lepiéj, co warta choroba;
Gdy u nas w domu cherla starzec jaki,
To idzie w bory, na trzy dni zabiera
Z sobą jedzenie, kładzie się pod drzewem
Na mchu i wzięte spożywa zapasy,
A po trzech dobach odchodzi do bogów!

Miron.

I nikt nie dojrzy, nie leczy starego?
Syn daje ojcu...

Ingomar.

Umrzéć! Nieinaczéj.
Gdy czas nań przyszedł, pocóż mu żyć dłużéj,
Sobie na męki, a na ciężar drugim?
Moc, treścią życia; a gdy z nas uchodzi,
To nam jest jelcem miecza bez brzeszczota,
Kołczanem próżnym, który precz rzucamy,

Miron.

W boru, po trzech dniach, okropna to chwila!

Ja zatem, gdyby mię opadły siły,
Musiałbym także!...

Ingomar.

Ty, nie, tyś niewolnik,
Twój los zależy li od woli tego,
Kto cię dostanie na swą część zdobyczy;
Lecz być też może, że przypadniesz losem
Jako łup bogom, więc topór ofiarny
W kole kamieni świętych cię ugodzi!

Miron.

Topór! ofiarny! Biada mi! Już czuję
Ostrz jego u szyi! Biada!

Ingomar.

Nie żal świata
Temu, kto na nim już więcéj nie żyje!

Miron.

Brońcież mię dobre ojczyzny méj bogi!
Massalio, biada, żem niebaczną stopą
Przekroczył progi obronnych bram twoich!
Żem nierozsądny!

Ingomar

Milcz, mówię, milcz! Bądźże
Tchórzem dla siebie, lecz uszu mych nie drażń
Swemi skargami.

Miron (odchodząc na bok).

Tak, słusznie, już milczę!

Ingomar (do siebie).

Mogą być męże tam u nich, lecz pewnie
Nie ten niewolnik!

Miron.

Panie!

Ingomar.

Miejże rozum,
Nie bój się. Los ten nie dosięże ciebie,
I gdy nam będziesz kuł tęgie oręże,
Pełnił swą służbę, żył po naszéj myśli,
To ci się jeszcze spodoba tu u nas.

Miron.

Mnie, u was.

Ingomar.

Głupcze tak się w życiu kochasz,
Żal ci wolności a nie znasz jéj wcale!
U nas jest wolność, jak ten świat szeroka,
Bór jéj mieszkaniem, z gór jéj tchnienie wieje!
A życie wasze, czyż tam życiem zwie się?
Mieszkać raz w domu, to znów gdzie wzrok niesie,
Nie dbać o dzisiaj, bo jutro nie twoje,
Niebezpieczeństwa, uczty, łowy, boje,
To ja zwię życiem, to ochota szczera,
To żyły wzdyma, a piersi rozpiera!
Wy zaś tam w głuchych murach, na to macie
Swe życie, by je w żałobnéj wieść szacie.

Miron.

Jam się w ich, panie, urodził obrębie;
Mieszka tam zgoda, słuszność, ład i prawo,
Wierna małżonka i kochana córka,
Najdroższe skarby, jakiem w świecie zyskał,
Mam w murach owych, raczéj dotąd miałem.

Ingomar.

Co? do łez przyszło! Idźże z oczu moich!
Łzy o kobiety? Jestżeś sam kobietą?
Cóż, bo kobiety. Ród płochy, zbytkowny,
Na to stworzone, by rodzić i służyć!
Ta zerka okiem, ledwie z pieluch wyszła,
Ta przy ognisku w kuczkach, dzieci karmi,
Ta maści włosy, przegląda się w zdroju!
Gdybym był Bogiem i miał ten świat stworzyć,
Bez kobiet całkiem obyłbym się. One
Bierzem jak kąpiel, gdy słońce dopieka;
A ty łzy lejesz o kobiety! Precz mi,
Precz z oczu!

Miron.

Panie; ty się gniewasz, jednak
Gdybyś był wczoraj jeszcze wolnym człekiem,
A dziś daleki od ojczyzny jak ja,
Biedny niewolnik.

Ingomar.

Ja niewolnik, nigdy!
(słychać odgłos rogu z daleka)
Cicho! Alastor znak daje! To oni,
Już idą!
(do Nowia, który się ukazuje w głębi sceny).
Czy to oni? Mów!

Nowio

Tak; dążą
Tu parowami z dolin; zaś Alastor
Wszystkich wyprzedził, pnąc się po urwiskach
Skał prosto ku nam. Otóż i on!
(Alastor wchodzi pośpiesznie z głębi sceny; powoli zjawiają się także Samo, Trynobant, Ambiwar i inni Tektosagowie, i występują na przód sceny).

Alastor.

Jestem!
Przychodzę; ale stałoby się lepiéj,
Gdybym był drogi i trudu oszczędził!
Przychodzę z próżną ręką!

Ingomar.

Mówisz prawdę?
Wszak Aweńczycy tłuste trzody zwykle
Co rok na paszę wyprawiają w góry.

Alastor.

Anim kopyta nie widział.

Ingomar.

Zła sprawa!
Nic zgoła nie masz.

Alastor.

Nic! A! prawda. Mam coś,
Na podobieństwo ładnéj dziewki

Nowio.

Jakto,
Kobietę!

Ingomar.

Czyż to warto twych zachodów!

Ambiwar.

Jakżeś ją złowił?

Alastor.

Ona sama biegła
Do nas! Czatując, leżeliśmy w krzakach!
W tém słyszym zdala kroki i rozmowę,
Dziewczyna ścieżką kamienistą śpiesznie
Pięła się w góry, choć tak słońce piekło,
Więc wypadliśmy z krzaków! Chłopiec, który
Jéj przewodnikiem był, uciekł; a ona,
W tył się cofnąwszy, odepchnęła ręką
Nasze ramiona rozwarte, i rzekła:
„Stójcie, was szukam! Wyście Tektosagi?“

Trynobant.

Hejże! dziewczyna, mówisz?

Nowio.

Cóż wy?

Alastor.

My w śmiech;
Nas szukasz, mówim; zatem nas znalazłaś,
I jesteś naszą zdobyczą. Lecz ona,
Spłonąwszy gniewem, z rąk się nam wyrwała,
„Nie, woła groźnie, jam nie wasza zdobycz!
„Ja niosę okup za waszego jeńca,
„Przeto mi wolna droga!“

Miron (do siebie),

Niesie okup
Za jeńca!

Ingomar.

Jeśli wykup nam przynosi,
To przy niéj prawda i droga jéj wolna.

Alastor.

Słowem, żądanie jéj wypełniliśmy,
By wskazać drogę jéj do Ingomara
Wodza naszego; więc też poszła z nami,
A raczéj biegła naprzód rączym krokiem,
My za nią w dyrdy, aż się głowy trzęsły.

Trynobant,

Ho zuch dziewczyna!

Ingomar,

Ale powiedzże mi,
Za kogo niesie wykupne pieniądze?

Alastor,

Mówiła, że za Mirona z Massalii.

Ingomar,

Za tego!

Miron,

Wielkie bogi!

Ingomar,

No zaprawdę,
Najlichszy towar znajdzie kupca swego.

Miron,

Wolny! za okup! Znów ujrzę Massalją!
Nie dajcie, bogi, bym od zmysłów odszedł!
O, powiedz, prawda? Że ma włosy ciemne,
A oko bystre, jasne, postać smukłą,
Głos słodki, niby słowików śpiewanie,
Tak słodki, powiedz. Wszak to dziecko moje.

Alastor

Ot, sam ją zobacz!
(Partenia wchodzi z głębi sceny, otoczona wielu Tektosagami),

Miron,

Partenia, me dziecię!
Drogie me, lube dziecię! Tyżeś! Tak jest,
Twój wzrok mi świeci! Więc mam znowu ciebie,
Więc mam znów wszystko! Ja myślałem o tem;
Gdybyż Partenia wykupić mnie mogła,
I myśl mą spełnia!

Partenia.

O, mój ojcze drogi!

Ingomar,

Znów płacz gotowy! Na boga piorunów,
Ten człowiek iście jest deszczową chmurą.

Alastor,

Dosyć tych kwileń i szeptań, kobieto;
O Ingomara pytałaś; masz go, mów!

Partenia (klękając przed Ingomarem),

Dozwól więc dziecku u stóp twoich, panie,
Błagać o wolność sędziwego ojca!
Dla nas on wszystkiem, lecz wam na co zda się
Człowiek tak wątły, starzec tak zgrzybiały;
O, daruj mi to, co dla was bez ceny.

Nowio.

Co, co? Darować.

Ambiwar.

Takiż to jéj okup?

Alastor.

Próżna jéj prośba!

Ingomar.

Twój ojciec, kobieto,
Jeńcem jest wszystkich nas; gdyby był moim,
Darowałbym ci tego posępnika;
Lecz gdy tak nie jest, nie miéj więc nadziei,
Byś nas na słówka pochlebne złowiła,
Błagasz daremnie.

Partenia (szybko powstając).

Dość, nie trudź się więcéj!
Bogi chcą tego! Bierzcie zatem okup!

Ingomar.

Cóż więc nam dajesz?

Partenia.

Siebie samą!

Miron.

Bredzisz.

Ingomar.

Ty, siebie?

Partenia.

Życie wiośniane za zwiędłe,
Młodość za starość, świeżość sił za słabość
Wzamian wam daję; puśćcie więc go wolnym!

Miron.

Nie, nie chcę. Nigdy!

Ingomar.

Twój ojciec oręże
Kuje, więc nam się przyda; ty zaś jesteś
Kobietą!

Partenia.

Myślisz, że będę ciężarem?...
Nie sądź tak! Umiem prząść i tkać ozdobnie,
Znam się wybornie na szyciu odzieży
I na ponętnych potraw przyrządzaniu!
Gram też na harfie; niemniéj biegłą jestem
W opowiadaniu wielu pięknych baśni;
I słodkich pieśni, by wam do snu śpiewać;
Silną też jestem na ciele i duszy,
A umysł zawsze mój hoży i jasny!

Ingomar.

Gracko! Twój ojciec płakać tylko umie!

Partenia.

Zgódźcie się! Żal wam nie będzie zamiany!

Miron.

Nie, nie słuchajcie szalonéj!

Ingomar.

Ty milcz tam!
A wy cóż na to? Czy zgoda!
(Postępuje z Tektosagami na lewo ku przodowi sceny tak, że Miron i Partenia zostają z prawéj strony na przodzie sceny).

Miron.

Nieszczęsna,
Coś uczyniła? Tak chcesz mnie uwolnić?
Ja zaś choćby mi śmierć ponieść, ja nie chcę!
Jakto, Polidor, i wszyscy tam nasi
Lepszéj ci rady podać nie umieli!

Partenia.

Nie ma tam serca i usta przyjaciół!

Miron.

Ależ Massalja, ależ Timarch, świetni
Panowie, Rada?

Partenia.

Wszystkich uszy głuche;
Więc samam przyszła zerwać ci kajdany.

Miron.

Obym nie dożył nigdy téj godziny!
Bo lepiéj w smoczéj byłoby ci jamie,
Niż tutaj u tych, którym postać ludzi
Natura tylko na szyderstwo dała,
Którzy swych ojców głodną śmiercią morzą,
Którzy swych jeńców, zadrżyj biedne dziecię!
W ofierze bogom zarzynają.

Partenia.

Ejże!
Mnie tu nie zarżną!

Ingomar (podczas gdy Miron i Partenia wciąż rozmawiają po cichu).

Puśćcie ją do domu!
Aż nadto kobiet mamy tam u siebie;
Stary kuć miecze umie.

Trynobant.

Lecz on zemrze
Téj nocy, ona zaś młoda. przeżyje
Sporo lat jeszcze.

Nowio.

Tak śliczne stworzenie
Puścić do domu! Starca uwolnijmy!

Ingomar.

Stracili zmysły!

Ambiwar.

Słuchajcie, obojga
Nie puśćmy!

Ingomar.

Łotry tak radzą! Gdy w dobréj
Przyszła tu wierze, niechże znajdzie wiarę.

Partenia (podczas gdy Tektosagowie cicho z sobą rozmawiają).

Stało się, zatem m. się ku domowi!
Matka się dręczy, śp sz jéj łzy utulić!
Jam młoda, snadniéj iż ty zniosę znoje,
Gdziebyś ty umarł, ja żyć będę mężnie!
Bądź wolnym, a mnie zostaw!

Miron.

Tu, zostawić!
Tu, gdzie śmierć czyha i od śmierci gorsza
Przemoc, zgorszenie, hańba! O, przenigdy!
Wpierw dajcie, bogi. me ostatnie mienie,
Ten sztylet zwrócić przeciw żądzom zbójów.

Partenia (padając Mironowi w ramiona i odbierając mu sztylet).

Mnie zostaw sztylet! A ty idź w spokoju;
Bo godną ciebie dotrwam tu lub umrę!
Lecz tak nie będzie; bo gdy wrócisz do dom,
Choćby Massalja pomocy nie dała,
Znajdziesz obrońców w rybakach, pasterzach,
Tu ich powiedziesz, napadniecie zbójców.

Miron.

Mów ciszéj. Zebrać przyjaciół i napaść....
Bóg ci na usta słowa takie włożył.

Ingomar (do Tektosagów).

Tak chcecie, zatem wybór wasz zatwierdzam,
(do Partenii).
Słuchaj kobieto, twym żądaniom gwoli,
Bierzem cię w okup za tamtego; zostań;
On niech odejdzie!

Partenia.

Dzięki wam, bogowie!

Miron.

Nie pójdę mówię! Jam jeńcem jest waszym,
Ja tu zostanę, ona w ojców progi
Niech śpieszy wolną!

Ingomar.

Kto twéj woli pyta?
Chcemy, byś odszedł, a ona została,
A zatem ruszaj!

Partenia.

Idź, wszak wrócisz znowu,
Wszak mnie wykupisz. O, nie budź ich gniewu.

Ingomar.

Długo tak jeszcze będzie? Daléj, chłopcy,
Stare mu kości wzruszajcie!

Nowio.

Precz ztąd!
(Nowio i Trynobant zbliżają się do Mirona).

Miron.

Chcecież mi dziecko z ramion wyrwać moich.

Trynobant (wypychając go).

Wynoś się, starcze!

Partenia.

Nie poniewierajcież
Mi ojca; pójdzie z dobréj woli! Idź już,
O, idź! i nie zwłócz dłużéj.

Miron.

Niech tak będzie!
Idę i wrócę znów.

Ambiwar.

Dotrzymaj słowa!

Miron.

Na zgubę wszystkich was powrócę znowu!

Alastor.

Śmie grozić.

Ambiwar.

Śmierć mu!

Ingomar.

Nie, raczéj wyrzućcie
Na cztery wiatry samochwalcę!

Niektórzy Tektosagowie.

Ruszaj!

Inni.

Precz, precz!

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Kilka słów o Dramatach perskich.

Azya zrobiwszy w przeszłości bardzo wiele dla rozwoju rodu ludzkiego, wyczerpała się niejako; mahometanizm wypowiedział ostatnie swe słowo. Arabia będąca niegdyś ogniskiem pełnem żywotności, dziś przedstawia szczególną obumarłość na polu twórczości ducha; jéj piaszczyste pustynie pozbawione prawie wszelkiéj roślinności są nietylko objawem klimatu, ale jednocześnie godłem jéj strony moralnéj.

W bieżącym jednak stuleciu, niektóre okolice Azyi zajaśniały najmniéj spodziewanym literackim blaskiem. Indye, Syria, a szczególniéj Persya przedstawiają w tym kierunku różne okazy nie bez znaczenia; chociaż trudno jeszcze odpowiedzieć na pytanie: czy są one zwiastunem nowéj ery, czy też ostatnim błyskiem gasnącéj lampy?

W Persyi pomimo jej upadku i poniżenia moralnego, odrodzenie literackie przybrało szersze niż gdzieindziéj rozmiary, ludność perska należy niezaprzeczenie do uprzywilejowanych w pośród ludności azyatyckich; czyta ze szczególnem zamiłowaniem arcydzieła swych poetów, i każda nowa gwiazda w tym kierunku, witaną jest z ogólnem uniesieniem. Uczeni znający dobrze Azyą, objawiają jednomyślnie jedno i to samo zdanie: że jeżeli ta część kuli ziemskiej ma odzyskać do pewnego przynajmniéj stopnia dawne znaczenie duchowe, to ruch tego rodzaju rozpocznie się od Persyi, która będzie pierwszym objawem i główną dźwignią odrodzenia.

Kraj ten w porównaniu z innymi uległ najmniejszemu wpływowi mahometanizmu: niezależnym jest bowiem od władzy duchowéj wielkiego kalifa i jest tem w łonie prawowiernych wyznawców proroka, czem państwa protestanckie, względem widoméj głowy katolickiego kościoła.

Gałęzie wyrosłe odrębnie na podstawie Koranu, mając nadane miano Sufizmu i Derwiszyzmu, sięgają czasów pierwotnych mahometanizmu, a oddając cześć nadzwyczajną Alemu, przeklinając jego zabójców, tem samem podkopują Islamizm w pierwotnych swych podstawach. Rzecz niepojęta, ale wzmiankowana okoliczność, mająca miejsce przed kilkunastu wiekami, z któréj wypłynęła kwestya prawowiernego następstwa tronu, jest do dziś dnia głównym przedmiotem miłości i nienawiści, a jednocześnie źródłem literatury najwięcéj oryginalnéj, na jaką potrafiła się zdobyć Azya w ostatnich czasach.

Śmierć Alego i jego dwóch synów podniesioną została przez ich zwolenników zwanych Szytami, do godności pierwszorzędnego znaczenia, w dziejach odszczepionego mahometanizmu. Miesiąc zwany moharram, przeznaczonym został na uczczenie rocznicy ich tragicznego zgonu.

W owym to czasie dla utrzymania nieprzerwanego wątku tradycyi, wszystkie szczegóły dotyczące tego wypadku dziejowego, opowiadane były w meczetach, na podobieństwo dawnych naszych dyalogów kościelnych. Odpowiednio do układu opracowania, dokonanego po większéj części przez nieznajomego poetę, kilka nawet kilkanaście osób przemawiało imieniem osób historycznych, mających udział w śmierci Alego z jednéj lub drugiéj strony. Początkowo opowiadania tego rodzaju starano się utrzymać w warunkach prawdy rzeczywistéj; w miarę jednak upływu czasu, i wzmagającéj się nienawiści Persów do Arabów i Turków, zapał religijny podsycany względami politycznemi, począł przystrajać wspomnienie o dawnym patryarsze w różne obrazy dodatkowe, mające swe źródło jedynie tylko w bujnéj wyobraźni swych twórców. Tym sposobem tradycya religijna uległa wprawdzie wielkiemu przeobrażeniu, ale za to dyalog przybierał formę co raz bardziéj zbliżoną, do zwykłych, dramatów historycznych. Jednakże dopiero w ostatnich czasach, ten rodzaj literatury pozyskał stanowisko odrębne, stając się objawem ducha niezależnego od względów religijnych. Ze wszystkich przeto krajów azyatyckich, podobno jedna tylko Persya, zdołała wytworzyć dramat sobie waściwy, w którym obok niezaprzeczonéj oryginalności, można dostrzedz od czasu do czasu połyski prawdziwego talentu.

Utwory to prawdopodobnie byłyby jeszcze długi czas nieznane w Europie, gdyby nie rodak nasz pan Aleksander Chodźko i pisarz francuzki pan de Gobineaus.

Pan de Gobineaus w dziele swem wydanem pod tytułem: „*Religie i Filozofie w Azyi środkowéj*" daje ogólną charakterystykę prac dramatycznych dokonanych przez Persów, a nawet jedną z nich pod tytułem *Les Noces de Cassem*, dał w tłomaczeniu odznaczonem niezaprzeczonemi zaletami. Pan Chodźko znowu w czasie pobytu swego w Teheranie, zakupił rękopism zawierający trzydzieści kilka utworów tego rodzaju, z których pięć przetłomaczył na język francuzki, i ogłosił drukiem w Paryżu.

Przedewszystkiem potrzeba sobie wyobrazić stronę materyalną przedstawień. Odbywają się one albo w wielkich sieniach umyślnie na ten cel zbudowanych, albo w domach zajezdnych, na placach publicznych, lub w ostatku na dziedzińcach położonych przed meczetami, lub pałacami bogatszych mieszkańców. Osoba ponosząca koszta na odpowiednie urządzenie miejsc do widowisk teatralnych, zdobywa odrazu wielkie uznanie ze strony swych współmieszkańców; oprócz tego ma zapewnione jeszcze większe korzyści, przez zaskarbienie łaski niebios dla siebie i całéj linii zstępnych. Wedle określenia perskiego, pozyskane tą drogą odpusty, są cegłami przyspasabiającemi na ziemi, do zbudowania świetnego pałacu w przyszłem życiu:

Miejsca w galeryach uważane jako honorowe, przeznaczone są dla zaproszonych gości, w pośród których często można spotkać znakomitszych Europejczyków, już to przyjezdnych, lub też należących do składu zagranicznych poselstw. W ogóle Persi, widzą nietylko bez zgorszenia ale chętnie chrześcian; w czasie owych przedstawień religijnych, Europejczycy nawet, nazywani zazwyczaj Frenkami we wzmiankowanych utworach, wprowadzani na scenę objawiają przychylność dla zamiarów Alego, aby tym sposobem uwydatnić jeszcze lepiéj niegodziwość Arabów i Turków. Wyznawcy nauki Chrystusa uważani są za bliższych prawdy, i przyznane mają uczucia szlachetniejsze pod każdym względem, od prawowiernych Mahometanów, brodzących w kałuży kłamstwa i przewrotności.

Na parterze znajdują się zazwyczaj kobiety, siedzące na przyniesionych przez siebie małych krzesełkach bez poręczy. Inne części okręgu: zajęte są przez ogół ludności siedzącéj w kuczki, wedle zwyczaju perskiego. Wśród zebranéj publiczności krążą ciągle tak nazwani Sekka, mający torbę skórzaną zawieszoną na pasach pełną wody, którą rozdają między spragnionych, za pośrednictwem spłaszczonego kubka, zbliżonego kształtem do naszych spodków. Zwyczaj ten jest pamiątką dotyczącą pierwszych wyznawców Alego, którzy ucierpieli wiele z powodu pragnienia na pustyni Karbela, gdzie zniewoleni byli skryć się wśród lata, aby uniknąć prześladowania zaciętych nieprzyjaciół.

Posługa tego rodzaju, uważaną jest za ofiarę sprowadzającą największe błogosławione następstwa. Zazwyczaj bywa wpływem zrobionego ślubu. Jeżeli naprzykład dziecko jest zbyt delikatne, słabowite, rodzice chcąc uprosić łaskę niebios, obiecują z niego zrobić Sekkę w czasie widowisk religijnych, na czas dłuższy lub krótszy, odpowiednio do potrzeby większego lub mniejszego zdroju łaski. Wedle zdania naocznych świadków, widok mały chsekków roznoszących wodę, robi nader miłe wrażenie. Przybrani są bogato, mają brwi i rzęsy ufarbowane na niebiesko, włosy zwinięte w spadające loki, które przykrywa czapeczka z tkanki wełnianéj, przyozdobiona w perły i drogie kamienie; kręcą się oni ustawicznie, rozdając wodę, a niekiedy sorbety. Od czasu do czasu, zjawiają się różnego rodzaju przemysłowcy, jak wynajmujący fajki, sprzedający cukierki, lub ciasta. Osoby znajdujące się na galeryi piją kawę i palą narżyle, a wśród ścieśnionego tłumu tak nazwani ferrâches uzbrojeni w kije przechadzają się poważnie utrzymując porządek.

Miejsce przeznaczone dla aktorów mieści się w środku sali, publiczność przeto może na nich patrzéć ze wszystkich stron. Na podwyższeniu okrytem dywanami, znajduje się tak zwany Ruzekhan w otoczeniu sześciu lub ośmiu młodych chłopaków, należących do chóru śpiewaków. Ruzekhan powinien przysposobić publiczność do bolesnych wrażeń, przez udzielanie odpowiednich nauk, przez opowiadanie dawnych podań prozą lub wierszem, przy śpiewie młodzieży.

Od czasu do czasu w miejscach bardziéj przejmujących rzuca on swój turban na ziemię, rozdziera ubranie, uderza się w piersi lub wyrywa włosy z brody. Prawie wszyscy zebrani naśladują go, odkrywając głowy pogolone, i przecinając skórę trzymanym w ręku kindżałem. W krótce twarze ich pokrywają się krwią i dopiero wtenczas rozpoczyna się właściwe widowisko. Dekoracye i kulisy nie są znane, wszyscy aktorzy znajdują się na scenie, każden z nich przemawia odpowiednio do układu sztuki, a później siada na zajmowanem przez siebie miejscu.

(d. n.)

Korespondencya z Niemiec.

(Ciąg dalszy).

Musimy uprzedzić czytelników naszych. że p. Hellenbach jest człowiekiem wysoko ukształconym i pod wielu względami ma przekonania bardzo umiarkowane, gdyż nie domyśliłby się pewnie tego potem co z dzieła jego przytoczymy. I tak, z jednéj strony widać że wiele czytał i wiele rozważał bardzo zasadniczo i trafnie rozbiera i krytykuje pewne doktryny; jest wielkim nieprzyjacielem gwałtownych przewrotów społecznych i wszystkich pragnących odrodzić świat rozbojami i ogniem; tak w filozofii jak w polityce trzyma się środka: nie zachwyca go materializm, nie może przypuścić aby kombinacya materyi mogła w przeciągu dwóch lub trzech lat wytworzyć maszynę świadomą siebie, czującą i myślącą, i twierdzi że nie wszystko na świecie da się wytłomaczyć przez łączące lub rozdzielające się z sobą komórki, i że metafizyka zawsze będzie miéć swój udział w sprawach tego świata,.. Oto co czytamy na kilkudziesięciu stronicach, aż nagle odwróciwszy kartę, spotyka się twierdzenia tak śmieszne, dowodzenia tak dziwne, iż przychodzi koniecznie na myśl że autor miewa napady pomięszania zmysłów. Przypominam sobie co mówił mi pewien lekarz zakładu obłąkanych. Obejmując dyrekcyą zakładu zastał w nim pewnego obywatela którego rodzina oddała tam na kuracyą; był już półtora roku za poprzednika jego, zatrzymał go jeszcze sześć miesięcy i jak uprzednio tak przez ten cały czas pacyent nie okazał nigdy ani śladu jakiegoś zboczenia umysłowego. Uznał go więc zupełnie przytomnym i postanowił odesłać do rodziny. Sam odwiózł go na koléj i miał wsadzić do wagonu, gdy w tem oczy waryata zabłysnęły gorączkowym blaskiem, i zawołał: A to się dopiero ucieszą w *** zobaczą nareszcie księżyc którego nie widzieli przez lat dwa, bo trzymałem go schowany w rękawie przez cały czas mego tu pobytu." P. Hellenbach nie jest waryatem, ale ma nader żywą i rozkiełznaną wyobraźnię, która, gdy tylko zapomni trzymać ją krótko, wymyka się i wyprawia szalone hopki i harce. Rozumuje on jaką godzinę jako wytrawny filozof, poczem spogląda na czytelnika z tajemniczym uśmiechem, oznajmia mu że ma swój księżyc w rękawie, wyjmuje i pokazuje.

Wychodzi niby z zasady dającéj się usprawiedliwić,; że w kolei czasu wszelkie najpożyteczniejsze instytucye stają się szkodliwe dla ludzkości, i utrzymują się jedynie siłą zgubnych lub śmiesznych przesądów. Na poparcie swego zdania przytacza słowa Mefistofelesa: ,,Wszystko co się rodzi. powinno umierać. Prawa i ustawy odziedziczamy tak jak choroby; rozum staje się niedorzecznością, dobrodziejstwo plagą; biada ci żeś się urodził wnukiem!

Weh dir das du ein Enkel bist!

I z tego wyprowadza wniosek: że wszystkie instytucye społeczne, uważane przez nas za najpożyteczniejsze, najświętsze, są przeznaczone na zagładę. I tak, mówi, mamy kodeks prawa cywilnego mocą którego każdy pragnący miéć dzieci prawe, musi się żenić, i zapewnie że przyjdzie dzień w którym człowiek ucywilizowany żeniący się, wyda się równie śmiesznym jak nam dziś utatuowany Indyanin. W dowodzeniu swojem miesza dobrowolnie rzeczy podlegające zmianie z niezmiennemi, i nie chce wiedzieć że pomimo zmiennych losów ucywilizowanéj ludzkości, są w niéj prawa tak niezmienne jak te które rządzą biegiem gwiazd. Wiele rzeczy może uledz zmianie, ale np. od początku świata ludzie chodzą na nogach bo się przekonali że są do tego stworzone i trudno przypuścić że kiedyś chodzić będą na głowach.

Dziwna rzecz, iż ów filozof przekładający nam że filozofia nasza na fałszywych oparta jest podstawach, może myśléć że dość napisać książkę aby usunąć błędy stare prawie jak świat, które, że tak

powiem, zrosły się z nami i przeszły w krew naszą, a jednak łudzi się tem że książka jego tego dokaże. Potępia wojny, uważając je za jeden z najstraszniejszych przesądów: jedne jego w tym względzie dowodzenia są bardzo rozsądne i uzasadnione. inne zakrawają na utopję. Nie popierając twierdzeń swoich żadnemi dowodami, zapewnia uroczyście że wkrótce już ludzkość wyrzecze się tych krwawych wyników nienawiści i przypadku, i wszelkie spory kończyć się będą sądem pojednawczym, czyż dzieło jego ma dokonać tego cudu? Nam się zdaje że do tego trzebaby aby chciwość, pycha i namiętność domagające się krwi rozlewu zniknęły ze świata. Wierzymy że wojny istnieć przestaną gdy nie będzie ludzi powodujących się własnym jedynie interesem. nie pożądających cudzego dobra ani własności, gdy zdobywcy oddadzą dobrowolnie co zabrali od owéj chwili szable będą mogły pozostać w pochwach, ale czy to tak niebawem nastąpi?... jeżeli jeszcze nastąpi.

Daléj p. Hellenbach jest zaciętym przeciwnikiem małżeństwa, uważając je za wymysł konwencyjny, za instytucyą przestarzałą która już się przeżyła. Powstaje zacięcie na obowiązujące prawa zabraniające wielożeństwa i wielomęztwa, tak zgodnych z naturą ludzką. Pod tym względem i dla kobiet domaga się jak największéj wolności. Dowodzi że jedna tylko miłość zdolna jest udoskonalić rodzaj ludzki, i potępia małżeństwo za to głównie że niema z nią nic wspólnego. „Bo, jak mówi dla czegóż to mężczyźni się żenią. Jeden chce miéć gospodynię, drugi wspólniczkę do handlu lub innych interesów; trzeci szuka matki dla dzieci, czwarty kobiety coby zapłaciła jego długi, piąty protekcyi lub stosunków, inny nareszcie kucharki któraby mu przyrządzała smaczne kąski. Jeźli niekiedy pojawi się jeszcze ktoś żeniący się z miłości, to do tego zgubnego kroku popychają go jedynie przesądy społeczne, mocą których tylko małżeństwo dać mu może ukochaną—ale taki biedak strasznego dozna zawodu, bo małżeństwo jest kontraktem a zatem grobem miłości." I jako jedyny sposób pogodzenia małżeństwa z poezyą i miłością zaleca małżeństwa czasowe, z możnością przedłużania. To dopiero poezya! Wystawmy sobie dwoje kochanków bardzo zakochanych, przysięgających sobie n. p. „będę cię kochać do przyszłego Ś. Jana lub Ś. Michała, daléj za nic nie ręczę!

Jedynie przez wzgląd na dzieci p. Hellenbach nie żąda natychmiastowego zniesienia małżeństwa. „Ponieważ dziecię nie potrafi, jak mała rybka, żywić się samo zaraz po przyjściu na świat, trzeba więc czekać dopókąd rząd nie weźmie na siebie tego obowiązku, a wtedy nastaną złote czasy wolnéj miłości. A że rządy zubożały skutkiem nieprodukcyjnych wydatków, trzeba więc dostarczyć im funduszów, nietylko na wychowywanie dzieci, ale i na wspieranie wszelkiéj biedy i niedoli, a jest to rzecz bardzo łatwe i niepotrzeba uciekać się do żadnych gwałtownych środków ani wstrząśnień społecznych: Oto dość postanowić aby ludzie bezdzietni obawiązani byli żywić dzieci inuych i ludzkość stanowili swoją spadkobierczynią.

Daléj występuje ostro przeciw dziedziczącym po krewnych, których nazywa „*die lachen den Erben*" (śmiejący się spadkobiercy). Pisze że w r. 1878 tacy śmiejący się spadkobiercy odziedziczyli przeszło 40,000 000 milionów dolarów, po różnych krewnych w Ameryce „i czyż tak wielkie dotknęłoby ich nieszczęście gdyby tylko połowę tego dostali, a gdyby drugą przeznaczono jako wieczysty fundusz na instytucye humanitarne?" Nie wymaga żeby zupełnie odjąć kawalerom prawo robienia testamentów, żąda tylko aby połowa lub czwarta część ich spadku przechodziła na własność cierpiącéj ludzkości, a dochodami od takich żelaznych kapitałów rozporządzać ma minister dobroczynności, nie mający nic wspólnego z polityką ani kwestyami gabinetowemi.

Tak tedy lepiéj będzie na świecie gdy bezżenni dobrowolnie czy z musu spełnią swe obowiązki, ale dobrze wtedy dopiero gdy ziemia należéć będzie do takich co największe potrafią ciągnąć z niéj korzyści, gdyż wtedy nadzwyczaj powiększy się produkcya gruntowa. Nie jest on *niby* stronnikiem komunalizmu, żąda przecież aby ziemia przechodziła z rąk do rąk, aby każdy posiadał ją z kolei. Jeźli np. A. posiada grunta i czy to przez opieszałość czy przez nieumiejętność nie dość dobrze je uprawia, a B. nie ma gruntu a posiadać go pragnie i wyobraża sobie, że grunta A. daleko bujniejsze wydawałyby plony zostając w jego posiadaniu, wtedy żąda aby A. wykazał dochód, oznajmia że potrafi go podwoić a więc i dwa razy większe będzie opłacać podatki—w takim razie należy wywłaszczyć A. na korzyść B. Genialny pomysł!

Widzimy że p. Hellenbach należy do tych co to pragną aby rząd był wszystkiem, aby wszystko na świecie od niego początkowało i na nim się kończyło. A jakże to nie raz niemoralną i wstrętną każe mu odgrywać rolę! Pomijając pomysły niewłaściwe do téj korespondencyi, powiem tylko że między innemi każe rządowi dopomagać ludziom pragnącym przez samobójstwo pozbawić się życia. „Każdy odbierający sobie życie, mówi on, przez śmierć swoją ułatwia istnienie pozostałym, czy to zostawiając im swój majątek, czy też choćby uwalniając od szkodliwego współzawodnictwa. W każdym razie ustępuje im z drogi, zostawiając na ich korzyść część żywności jaka na niego przypadała. Gdyby nawet liczba samobójstw była jeszcze dziesięć razy większą niż jest obecnie, nie dorówna ani setnéj ofiar zabranych przez wojny, głód i nędzę. Jest w mocy i jest obowiązkiem społeczeństwa ułatwiać śmierć dowolną i odjąć jéj dotychczasową zgrozę, i tylko skutkiem zastarzałego przesądu, społeczność nie wywiązuje się z téj powinności swojéj." Tu trzeba przyznać autorowi wcale oryginalny pogląd.

Dodać jeszcze muszę że rząd powinien także pozbawiać życia chorych nie mających nadziei wyzdrowienia. P. Hellenbach jest tyle względny dla rządu, że pozwala mu wybierać w jaki sposób ma zadawać śmierć tym biedakom.

Autor tylu utopii nie zapatruje się na świat optymistycznie i pomimo swéj książki mającéj zaradzić wszelkiemu złemu, najgorszą przepowiada mu przyszłość.

Przez stopniowe oziębianie słońca coraz mniéj bedzie ziem mogących być zamieszkanemi; czeka nas los planety Marsa, na któréj lodowiska północne, daleko większe od naszych zajmują przestrzenie. Przyjdzie czas że zamienimy się w asteroidę. w jałowy i opustoszały księżyc, prawie nie możebny do zamieszkania.

Tak więc przyszłość nie ukazuje nam się w różowem świetle, teraźniejszość w cale nie zadawalniająca a życie jest wielkiem złem. Nieprzyjaciel przesądów tłomaczy się z tego że żyje na świecie, powiada że to wcale nie jego wina, że bynajmniéj nie pragnął życia i bez jego wiedzy został na świat rzucony. Gdyby on stwarzał świat, lepiejby się na nim działo. Żałuje bardzo że jeszcze w kolebce nie zaduszono go chloroformem, i to jedynie godzi go z jego na ziemi istnieniem; iż uważa je za nieodzowne ogniwo wielkiego łańcucha przyczyn i skutków. Ma szczęście wierzyć w nieśmiertelność duszy, ale jednocześnie utrzymuje że ani mestafizyka ani historya naturalna nie leczą naszych cierpień Kto w badaniu wszechświata szuka pociechy na własne swoje cierpienia, podobny jest temu co dlatego jedynie czyta jakąś książkę, iż spodziewa się spotkać w niéj swoje nazwisko. Niestety! w wielkiéj księdze przyrody najmniejszéj o nas nie ma wzmianki; możemy ją przeczytać od początku do końca i nigdzie nie znajdziemy naszego nazwiska ani pochwały; tak w tekscie jak na marginesach.

Obok tylu absurdów znajdujemy w dziele pana Hellenbacha całe rozdziały wybornie napisane; dowodzące głębokiéj nauki i poważnych badań: trzeba być Niemcem aby pogodzić dwie rzeczy tak sprzeczne. Żaden naród nie ma tak wielkiego zamiłowania i takiego dziwnego zmysłu do rozprawiania o wszystkiem, choćby najzupełniéj nienadającem się do rozpraw i sporów. Francuz, Polak, Włoch, Anglik, uznają mniéj więcéj że są niezbędności którym poddać się trzeba, pewne prawdy które przyjąć uznać należy; Niemiec jak raz zacznie rozprawiać już nie wie gdzie się zatrzymać. Wielu z dzisiejszych niemieckich pisarzy, wzieli sobie za godło herb i dewizę słynnego Fouquet'a, wiewiórkę z napisem: *Quo non ascendam?* (Gdzież nie dosięgnę) nie dość im krytykować rząd, ustawy społeczne i prawdy uznane za niezwalczone, w zapale zarzutów oskarżać gotowi słońce, księżyc, gwiazdy. Utopistów coraz więcéj, tylko mało który posiada obok tego dowcip i erudycyą p. Hellenbach'a, nieprzyjala przesądów.

(*d. c. n.*)

Koszykarstwo.

„Pracy, pracy dla kobiet" wołają zewsząd, i ja to właśnie powtórzę za innymi, ale pracy nie odrywającéj jéj od ogniska domowego, niepozbawiającéj rodzinę jéj obecności, dzieci troskliwéj opieki macierzyńskiéj, starych rodziców słodkiego uśmiechu córki... To też, gdy tylko posłyszę o jakim nowym zawodzie otworzonym dla kobiety, który jéj pozwala godzić obowiązki własne z pracą zarobkową; a nieodrywającą od ogniska domowego, cieszę się serdecznie. Takich zawodów dzisiaj dzięki Bogu liczymy już kilka: krawieczczyzna, introligatorstwo, szewctwo, nakoniec koszykarstwo. Ta ostatnia gałęź przemysłowa długo u nas zaniedbana w ostatnich czasach rozwinęła się pomyślnie, czego dowodem ostatnia wystawa przemysłowa, na któréj tak bogaty zapas rozmaitego rodzaju koszów i koszyczków oglądać mogliśmy. Zawód to pod każdym względem godzien poparcia: nie jest ciężki i trudny, nie wymaga ani sił wielkich, ani długiego czasu nauki, dość korzystny i pozwala godzić obowiązek domowe z pracą chlebodajną.

Ważnem jest i to także że materyał doń potrzebny łatwy jest do nabycia, nie potrzeba go szukać za granicą, a narzędzia doń potrzebne nieliczne i nie kosztowne.

Gdyby panienki córki obywatelskie, wyuczywszy się koszykarstwa udzieliły następnie téj umiejętności biedniejszym swoim siostrom, jakże im za to byłby lud wdzięczny. Za granicą, fabryki koszyków napełnione są kobietami, miejmy więc nadzieję że i u nas tak samo z czasem będzie.

Obecnie zaczynają powstawać tu i owdzie warstaty kobiece, oby rozwinęły się w jak największe! Tu i owdzie także słychać o młodych nauczycielkach, które uczą tego rzemiosła. Do tych należy panna Kuczyńska Bronisława, która wyuczywszy

się w Krakowie koszykarstwa przyjmuje obecnie uczennice.

Bliższe szczegóły o niéj dowiedzieć się można przy ulicy Ogrodowéj pod N. 12.

T. J.

Szkoła kucharek w Warszawie.

Jemy aby żyć, jest więc rzeczą nader ważną jak i co mamy jeść, aby utrzymać zdrowie, gdyż wiadomo że zły pokarm, a ztąd i złe odżywianie organizmu sprowadza rozmaite choroby, a przedewszystkiem tak w nas rozpowszechniony katar żołądka, który niejedną już pochłonął ofiarę. A że zdrowa dusza w zdrowem ciele, winniśmy się więc starać o zapewnienie sobie możliwie zdrowego jedzenia z uwagi, że do pracy tak umysłowéj jako i fizycznéj, potrzeba zdrowego ciała i spokojnego ducha.

Pokarmy zatem i sposób ich przyrządzania odgrywają ważną rolę w życiu ludzkiem; one to odżywiają ciało, które pracuje i mózg narzędzie myśli. Pokarmy więc mają być zdrowe i smaczne, a takie może dać tylko dobra kuchnia, ta zaś ostatnia jest niemożebną, jeśli zajmują się nią osoby nie mające odpowiednich wiadomości.

Brak właśnie takich osób, to jest kucharek, a przytem przekonanie, że nauka kucharstwa przydać się może każdéj kobiecie, będącéj lub mającéj być kiedyś gospodynią domu; sprawia, że radzi witamy nowopowstającą szkołę.

Dzisiejszy stan cywilizacyi wymaga od każdego fachowego wykształcenia; jest ono konieczne dla dobréj kucharki, piastunki, pokojówki, panny służącéj i t. d. Mamy zatem prawo wymagać go szczególnie od kucharki, gdyż od niéj zależy nasze zdrowie. Nie wspominamy już o zarządczyniach i gospodyniach, które koniecznie wymagają odpowiedniego ukształcenia, jeżeli chcemy mieć spokój w domu i ekonomiczne prowadzenie gospodarstwa kobiecego.

Jesteśmy przekonani że znajdzie się wiele kobiet chcących się wydoskonalić w sztuce kuchennéj, aby w przyszłości mieć z tego utrzymanie, a i dla gospodyń naszych sądzimy że nieobojętną będzie rzeczą, możność praktycznego nauczenia się gospodarstwa domowego i bliższe poznanie się z tajemnicami téj sztuki.

W tym celu Zakład Rękodzielniczy dla kobiet przy placu Zielonym, znany ze swéj pożytecznéj działalności, otworzył „Szkołę kucharek."

Wykład nauki w Szkole prowadzi się podług odpowiedniego planu przez specyalnie uzdolnionego kuchmistrza pod dozorem ustanowionéj nadzorczyni zarządzającéj tą Instytucyą.

W ciągu każdego kursu odbywać się będą dla uczennic odczyty o kuchni, spiżarni, piwnicy i urządzeniach domowych.

Wykład i praktyka w „Szkole kucharek" rozpoczęły się dnia 1-go listopada i odbywać się będzie codziennie przez rok cały.

Opłata za naukę jest o ile można umiarkowaną (6 rs. miesięcznie) i wnoszoną tylko przez osoby, chcące w ciągu trzech miesięcy obznajmić się z kucharstwem.

Kobiety zaś, życzące się wykwalifikować na kucharki, przyjmowane są na praktykę bezpłatnie, z obowiązkiem jedynie wykonywania wszelkiéj powierzonéj sobie roboty, nietylko odnoszącéj się do gotowania, lecz i przysposabiania zapasów, jako to: skrobania, siekania, obierania jarzyn, oporządzania mięsiwa, sporządzania ryb, zagniatania, wydawania obiadów i t. p.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu uczennice otrzymają odpowiednie świadectwa uzdolnienia.

„Szkoła kucharek" mieści się przy ulicy Chmielnéj pod N. 11, gdzie można powziąść bliższe informacye o warunkach przyjęcia do nauki.

Zawiadomienie.

Malowanie na porcelanie tak właściwe dla zręcznych i utalentowanych rączek, rozpowszechniając się coraz więcéj, nastręcza kobietom sposobność korzystnéj praktyki na tém polu, przez otwarcie we Włocławku drugiéj fabryki ulepszonego fajansu, która ma bardzo postępowych właścicieli, obowiązujących się dostarczać w tym kierunku obstalunków, tak koniecznych na drodze większego rozwoju,

Uczennice pracujące na tem polu, mają sposobność jednocześnie uczyć się kroju, koronek, kwiatów, rysunków i dokształcać umysłowo.

Przełożona szkoły rękodzielniczéj dla kobiet.
Agnieszka z Wilczewskich Bufle

ZAKŁAD
Nauki rzemiosł
i
RĘKODZIEŁ DLA KOBIET
Ulica Chmielna Nr. 18.

W dniu 12 Września roku bieżącego otworzyłam w Warszawie ul. Chmielna Nr. 18, Zakład Nauki Rzemiosł i Rękodzieł dla Kobiet, oraz Pracownię. W Zakładzie moim udzielane będą przedmioty: Krój i szycie sukien, Krój i szycie bielizny, Stroje, Kwiaciarstwo, Koszykarstwo, Heliominiatury, ułatwiony sposób malarstwa na drzewie, Koronkarstwo, Haft, znaczenie, robota szydełkowa biała, włóczkowa; Rękawicznictwo, Introligatorstwo, Szmuklerszczyzna, Buchalterya. Przedmioty te będą udzielane przez osoby mające odpowiednie kwalifikacye do ich wykładu, w kursach 6-cio, i 3-miesięcznych krótszych, stosownie do ważności przedmiotu i życzenia osób mających je pobierać, po cenach ogólnie za tego rodzaju wykłady przyjętych: dla uczennic niezamożnych opłaty będą zmniejszone. Pragnąc aby osoby uczące się w moim Zakładzie, zarówno wychodziły uzdolnione w teoryi jak obeznane z praktyką, otworzyłam pracownię Krawieczczyzny, Bielizny, Strojów, do któréj przyjmuję nietylko materyały na ubrania damskie, ale i toalety wyszłe z mody do przerabiania, dla nadania uczącym się u mnie krawieczczyzny gustu w robocie i sposobu oszczędniejszego ubierania się przy tak kosztownéj i zmiennéj modzie. Kierując sama Pracownią, Interesantów przyjmuję do 10-téj rano i od 1-széj po południu.

Sama z trudnościami i wiele w życiu pracując, sumiennie i troskliwie w swoim Zakładzie będę uczyła pracować drugich, gdyż doświadczenie mię nauczyło że ręczna praca kobieca byle sumiennie i z poczuciem obowiązku wykonywana, na równi z pracą umysłową, może być korzystną dla siebie i użyteczną dla drugich.

Właścicielka Zakładu Nauki Rzemiosł i Rękodzieł dla Kobiet ulica Chmielna Nr. 18.

Józefa Swinarska.

Nowe wydawnictwa.

W tych dniach opuścił prasę Tom V Zbioru Praw i Rozporządzeń Rządu, który jak wiadomo ma zastępować dalszy ciąg dawnego „Dziennika Praw Królestwa Polskiego". Wydane poprzednio cztery tomy tego Zbioru, obejmowały wszelkie obowiązujące w Królestwie Polskiem przepisy i rozporządzenia Rządu, ogłoszone we właściwéj drodze prawodawczéj w ciągu lat 1871, 1872, 1873 i w pierwszéj połowie 1874. Ukończony obecnie Tom V-ty zawiera prawodawstwo za drugie półrocze tego ostatniego roku. Redakcya „Niwy" któréj nakładem „Zbiór Praw" wychodzi, ogłasza na okładce tomu V go. że tom VI, który obejmie prawa obowiązujące w Królestwie Polskiem, wydane w ciągu pierwszego półrocza 1875, wyjdzie z druku niebawem. Tom ten między innemi obejmie ważne prawodawcze przepisy o zaprowadzeniu reformy sądowéj.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 5 Ноября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 47 r. 1879.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

XI.

Marya Anna wyszła do parku, odetchnąć balsamiczną wonią drzew, a może też, czego nie śmiała wyznać nawet przed sobą, że czas wydawał jéj się nieznośnie długim, odkąd pan de Vambry znikł jéj z oczu.

— Jakież to śliczne kwiaty! rzekła posuwając się uprzejmie naprzeciwko swego gościa.

— Będzie mi bardzo przyjemnie jeźli pani zechce je przyjąć, odpowiedział podając jéj kwiatki.

— Gdzie je pan znalazł? Nie widziałam tu nigdzie podobnych.

Jakże tu przyznać, że wyrosły na grobach?... i że je ofiarował wiedząc o tem.

Stefan czuł że postąpił niewłaściwie, i chcąc błąd swój naprawić chwycił się sposobu który inaczéj nigdyby mu na myśl nie przyszedł,

— Jeźli pani raczy podać mi rękę, pokażę jéj mój dziki ogród.

Spełniła jego życzenie, czując że miło jéj będzie wesprzéć się na jego ramieniu.

Stefan przypomniał sobie że widział takież same kwiatki rosnące nad brzegiem przepaści około krzyża na płaszczyźnie, górskiej panującéj nad całym krajobrazem.

— Stryjenko, rzekła Marya Anna przechodząc koło otwartych okien salonu, czas śliczny, może ktoś zechce wybrać się z nami na trochę dalszą przechadzkę.

— Najchętniéj, odpowiedziała margrabina, któréj serce zaczęło bić prędzéj pod wpływem radości, jaką w niéj budził widok téj pary, wzajemnie, jak jéj się zdawało, zadowolonéj z siebie, a którą tak pragnęła połączyć na zawsze.

Aby im nie zepsuć téj wspólnéj przechadzki, starała się z prawdziwie macierzyńską troskliwością zabezpieczyć im zupełną swobodę. Zatrzymała obok siebie Matyldę, a pana de Fouzolle ostrzegła spojrzeniem, aby nie przerywał im rozmowy.

Gdy wychodzono z zamku, nadjechał służący państwa Bernard, przywożący im listy przyniesione z poczty. Wprawdzie nie zostawiono mu takiego rozporządzenia, ale spostrzegłszy że na jednym z nich, wysłanym z Paryża, było napisane „pilno“ sądził że trzeba wręczyć go jak najprędzéj.

Pomiędzy innymi znajdował się także list od pani de Vambry, od syna jéj Marjusza; złamała pieczątkę, i zaczęła czytać idąc wolniéj za resztą towarzystwa.

Nigdy prawie w listach marnotrawnego syna nie było nic pocieszającego. Ciągłe uskarżanie się na samotność, przebijająca się obawa aby nie był zmuszonym wziąść napowrót do siebie dzieci, ponawiająca się często prośba o pieniądze, oto zwykła treść korrespondencyi Marjusza de Vambry.

Na użalanie się nad samotnością, pani de Vambry odpowiadała zwykle, że ponieważ najstarsza jego córeczka Berta skończy wkrótce lat dwanaście, odeśle ją do niego zaraz po pierwszéj spowiedzi, ze starannie dobraną nauczycielką, aby miał jakieś towarzystwo w domu, inne zaś dzieci jeszcze czas jakiś zostawi u siebie. Na wszelkie zaś prośby o pieniądze, napełniające ją wstydem i trwogą, odpisywała zawsze odmownie.

Teraz jednak nie znalazła ani próśb ani użaleń, a list Marjusza był podobniejszy do tryumfalnego hymnu. Kochał i był kochany, szczęśliwy. Zamierzał wkrótce stanąć przed ołtarzem z drugą, wybraną przez siebie małżonką! brakowało mu już tylko błogosławieństwa matki, o które prosił.

Biedna kobieta zadrżała. Wybór Marjusza!... Jakiż wybór mógł zrobić człowiek tak lekkomyślny i namiętny?... Jaką matkę chce narzucić swym dzieciom? Po co mu zawierać nowe związki, skoro ciągle uskarża się na niedostatek, i nie umie nawet spełniać obowiązków ojca? Gdyby te biedne dzieci straciły w niéj opiekunkę; co się z nimi stanie przy takim ojcu i przy téj jakiejś nieznanéj matce?

Pani de Vambry przerażona przyszłością jaką jej kazała przewidywać przeszłość Marjusza, musiała użyć wszelkich sił aby wyrazista jéj twarz nie zdradzała macierzyńskiego niepokoju. Marjusz nie donosił żadnych szczegółów o swem przyszłem małżeństwie, musiało to więc być jakieś nowe nieszczęście.

Cóżby nie dała za to w téj chwili, gdyby jéj syn ukochany, jéj Stefan, był już wolnym od wszelkiéj obawy na przyszłość, zabezpieczonym od trosk wynikających z niedostatku, i gdyby mógł wesprzeć się na bogactwie stanowiącem dźwignię i tarczę chroniącą od bardzo wielu przykrości!...

Marzenie to mogło zamienić się w rzeczywistość, i po części ona je sama zniweczyła. Gdyby nie zraziła się tak prędko, gdyby zostawiła pannie de Fouzolle dość czasu do okazania że szlachetne serce i słodycz charakteru mogą wynagrodzić wątłe zdrowie, może w końcu Stefan byłby przyjął z wdzięcznością tę małą szczupłą rączkę. Choćby nie kochał gorąco żony byłby ją szanował i otoczył serdeczną i troskliwą opieką, i kto wie czy szczęście nie wpłynęłoby zbawienniéj na młodą dziedziczkę nad wszelkie środki lekarskie?

Zresztą, kilka lat spokoju i dostatków zyskane na niepewnéj przyszłości, to także hojny dar losu... Nie jestże to niewdzięcznością, wielką niewdzięcznością odtrącać go od siebie?

A! gdyby to jeszcze można było!... Gorzki żal ścisnął bardzo kochające, ale trochę wyrachowane serce téj dobréj matki, któréj nie potępiałaby zapewnie żadna inna matka, gdyby jéj przyszło także ubolewać nad złem ożenieniem się jednego syna, i wyrzeczeniem się dobrowolnem upragnionego związku dla drugiego.

Złączyła się z resztą towarzystwa. Rozmawiano tam patrząc na młodą parę znajdującą się już na płaszczyźnie, na którą Marya Anna weszła nie spoczywając wcale w drodze.

— Jakże ona żwawo idzie! zawołała radośnie margrabina.

— Górskie powietrze podwaja jéj siły; rzekła pani de Vambry.

— Sądzę że prędzéj ramie syna pani, powiedział pan de Fouzolle.

— Mnie się zdaje, odezwała się Matylda z uśmiechem, że tu najsilniej działa przyjemność, jaką zdaje się jéj sprawiać rozmowa Stefana.

— Rzeczywiście miło jest słuchać, kiedy przyjaciel pani, pan Stefan zacznie o czemś mówić... dla tego też nie dziwi mnie to że córce mojéj tak przyjemnie z nim rozmawiać, odpowiedział pan de Fouzolle.

— Ah! gdybym tak mogła pokierować ich rozmową stosownie do méj woli!... zawołała Matylda, nie tak łatwo wyrzekająca się swych zamiarów.

Pani de Vambry zostająca pod wpływem nowych uczuć i myśli jakie w niéj obudził list Marjusza, nie zdolna zastanowić się nad tem co czyni, skorzystała śpiesznie z nadarzającéj się sposobności.

— Wiesz dobrze, moja droga, rzekła, że co do mnie, chętnie powierzyłabym ci ten kierunek którego sobie tak życzysz.

Margrabina zaczęła przysłuchiwać się z najgłębszą uwagą. Niewątpliwie były to przedwstępne kroki do spełnienia jéj najgorętszych życzeń.

— Pani Bernard, rzekła po chwili, posiada w sercu swojem najlepszego doradzcę skoro idzie o szczęście jéj przyjaciół.

Matylda czując że nagle usuwają się przeszkody jeszcze rano tamujące jéj drogę dojścia do celu, obrzuciła bystrem spojrzeniem twarze otaczających ją osób, i wyczytała z nich najkorzystniejsze usposobienie dla swych zamiarów.

— Takie przyjemne miałam marzenie! rzekła śmiało. Mój dobry Stefan i moja droga Marya Anna!... Widziałam ich w myśli idących razem, tak przez usłane kwiatami jak niekiedy i cierniem pokryte drogi życia, jak widzieliśmy ich obecnie wstępujących na wyżyny w Mouguerre... to jest, z uśmiechem szczęścia na ustach.

— Ah! Matyldo!... rzekła tonem wymówki margrabina,

— Czy panią gniewają moje marzenia?

— Nie, moja droga, ale zapominasz że nie powinno się nigdy, nawet w najżyczliwszym żarcie, łączyć imienia młodéj panienki z imieniem...

— O! niech pani margrabina nie łaje Matyldy, zawołała pani de Vambry, ulegając pociągającéj ją sile, proszę mi wierzyć że podzielam jéj życzenia, i potwierdzam każde jéj słowo.

Tak wyraźne oświadczenie rozproszyło niepewność i obawę margrabiny i pana de Fouzolle, jak wiatr rozprasza chmury snujące się nad wierzchołkami gór.

Najżywsza radość wstrząsnęła sercem margrabiny. Nikt prócz niéj nie mógłby powiedzieć dlaczego tak pragnęła wydać prędko synowicę za mąż. Czoło pana de Fouzolle rozjaśniło się z powodów także jemu tylko znanych... Teraz już nie będzie musiał czekać długo na urzeczywistnienie swych zamiarów. Oboje szukali jakiejś odpowiedzi zadawalniającéj ale zarazem pokrywającéj ich radość, któraby mogła się wydać dość dziwną.

Hrabia, nie wiedząc co powiedzieć, pocałował

z uszanowaniem rękę wdowy, jakby na znak że przyzwala i dziękuje. Margrabina której sumienie przemówiło, rzekła:

— Wszak pani wiadomo że moja droga Marya Anna jest bardzo słabowita.

Pani de Vambry uniesiona chęcią zabezpieczenia na zawsze ukochanego syna od niedostatku, zawołała z żywością nacechowaną głębokiem przekonaniem:

— Szczęście ją uleczy!

Trzy kobiety połączone wspólnem, jakkolwiek wypływającem z odmiennych przyczyn, życzeniem, wyciągnęły jednocześnie ręce do życzliwego uścisku. W téjże saméj chwili, Stefan i Marya Anna, stojący już u stóp krzyża, odwrócili się czekając na resztę towarzystwa, i patrzeli z zadziwieniem na tę oznakę czułości, któréj powodów nie umieli sobie wytłomaczyć. Stefan spojrzał niespokojnie na swą towarzyszkę, ona pytająco na niego. Jego przeniknęła jakaś nieokreślona obawa, ona zadrżała pod wpływem ogarniającego ją przeczucia.

Co do pani de Vambry, prawie zaraz po wyrzeczeniu stanowczych słów i podaniu ręki margrabinie opanowało ją silne wzruszenie, połączone z przestrachem. Co syn powie na to jej zobowiązanie?... czy zechce je przyjąć lub odrzucić? Może zepsuła wszystko przez zbytnią gorliwość? Ah! jakże była nierozważną!... Zimny dreszcz ją przebiegł skoro oczy jéj spotkały badające spojrzenie syna.

Pan Bernard, którego chroniczna nietrafność postępowania, wikłała zwykle nawet najprostsze położenia, nie omieszkał zużytkować jéj i w tym razie.

— Pozostańcie tak!.. pozostańcie! zawołał zatrzymując się o kilkanaście kroków przed panną de Fouzolle i Stefanem. Nie rozłączajcie się jeszcze!... Nie wysuwaj ręki, panno Maryo Anno!... Doprawdy, ładnie wam tak razem!...

— Co pan mówi? zapytał Stefan, nie bardzo jeszcze zaniepokojony, wiedząc już jak dalece pan Bernard grzeszy brakiem taktu i ogłady towarzyskiéj.

Matylda przerażona wdaniem się męża w tak trudną sprawę, spojrzeniem nakazała mu milczenie, zbliżyła się do Maryi Anny i rzekła całując ją w oba policzki:

— Pan Bernard zawsze żartuje, ja przeciwnie lubię poważnie mówić o szczęściu.

— O szczęściu?... powtórzyła drżącym głosem Marya Anna.

— Matyldo? zawołał blednąc Stefan, dotknięty przykrem przeczuciem.

Matylda z pieszczotliwą minką łaszącéj się kotki, z uśmiechem na ustach, wzięła siłną rękę Stefana, złączyła ją z drobną rączką Maryi Anny, i odezwała się przytrzymując je tak razem:

— To było celem marzeń waszych przyjaciół, i na to właśnie zgodziły się wasze matki. Wątpię abyście mieli odwagę okazać wszystkim że się mylili.

Stefan zrozumiał już doskonale. Marya Anna nie śmiała się jeszcze domyśleć.

— Wybacz pani!... odezwał się stłumionym lecz gniewnym głosem.

Wzruszenie Maryi Anny nie dozwoliło jej dostrzedz téj oznaki oporu, a Matylda powstrzymała zręcznie wyraźniejsze jego objawy.

— Patrz, rzekła z doskonale udanem rozrzewnieniem, patrz Stefanie na radość twej matki! Czy nie widzisz że jej twarz znękana tylu ciężkiemi troskami, zdaje się teraz młodszą najmniéj o lat dziesięć.

Te słowa były dowodem wielkiéj zręczności dyplomatycznéj ze strony Matyldy. Stefan nie mógł nigdy pomyśléć bez głębokiego rozczulenia o tem co biedna jego matka przecierpiała już z powodu Marjusza. Pomimo to, takie rozporządzenie jego osobistą wolnością, bez jego zezwolenia, a nawet bez jego wiedzy, musiało się wydać i tak dobremu synowi nadużyciem władzy rodzicielskiéj. Jakkolwiek jednak był silnie oburzony całą tą sceną do któréj wmięszano go gwałtem, posiadał w zbyt wysokim stopniu rzadki dar panowania nad sobą, aby mógł zapomniéć choć na chwilę o tem co mu nakazywały względy grzeczności towarzyskiéj.

Wysunął lekko rękę którą Matylda przytrzymywała ciągle; ukłonił się Maryi Annie z trochę wymuszoną uprzejmością i rzekł głosem pewnym, bez najlżejszego rozdrażnienia.

— Pani Bernard zechce mi wybaczyć że nie mogłem ukryć zadziwienia, słysząc że porusza nagle, bez przygotowania fakt tak ważny, że nawet jéj życzliwe pośrednictwo i cały jéj dowcip nie może zmniejszyć jego doniosłości. Jestże to stosowne miejsce do rozstrzygnięcia podobnéj sprawy?

Pan de Fouzolle, który w swem dość awanturniczem życiu, nauczył się czytać w twarzy bliźnich wewnętrzne ich uczucia, sposępniał trochę.

— Djabeł nie chłopak! rzekł do siebie w myśli, nie tak łatwo będzie go ożenić... Podobne interesa trzeba załatwiać prędko, od ręki, bo inaczej się nie udadzą.

Margrabina olśniona radością jaką ją napełniały przedwstępne kroki, sądząc że były przeprowadzone z wolą i wiedzą Stefana, nie dostrzegała ile oporu ukrywało się w tym pełnym grzeczności spokoju pana de Vambry. Była jednak szczęśliwszą od zręcznéj i przebiegłéj Matyldy; bez wyrachowania, idąc za popędem przepełniającego ją uczucia, potrafiła wzruszyć Stefana słówkiem płynącem prosto z jéj serca:

— Teraz już rzekła, będę mogła umrzéć spokojnie... wiedząc że ona będzie szczęśliwą.

Kiedy patrzył na nią z pewnym przestrachem, wyciągnęła do niego rękę, i mówiła daléj ze łzami w oczach:

— Przebacz nam, panie Stefanie, ten brak związku w tem wszystkiem co się około ciebie mówi i knuje... To nasze macierzyńskie serca są tego powodem; przepełnione gorącem do was przywiązaniem, potrafią porozumiewać się pół słówkami tam gdzie o was idzie. Razi cię to że przez zbytni pośpiech pominęłyśmy wszelkie przyjęte formy: ale cóż chcesz? nasze siwiejące włosy przypominają nam że musimy się śpieszyć, jeżeli chcemy patrzeć jeszcze na wasze szczęście.

Stefan skorzystał o tyle z téj serdecznéj przemowy margrabiny, że miał czas opamiętać się, zastanowić, i zbadać twarz matki. Wyczytał z niéj ciężki wewnętrzny niepokój, gorącą prośbę aby nie zburzył jéj dzieła, i jakieś silne przeświadczenie że dobrze postąpiła. Prócz tego, jakby dla wytłomaczenia mu powodów tak nagłéj zmiany, wskazała mu nieznacznie list Marjusza, który jeszcze trzymała w ręku.

Stefan posiadał wiele zimnéj krwi, silną wolę, wielką słodycz charakteru, i pewną skłonność do wiary w fatalizm. Czuł dobrze jak zaciskały się z każdą chwilą zarzucone na niego więzy: mógł je skruszyć od razu, ale depcząc najprostsze względy grzeczności. Mógł wywikłać się z tego położenia, lecz zakrwawiając serce matki, i zadając ciężką ranę sercu biednéj dziewczyny. Czy to jakaś wyższa wola narzuca mu tę przyszłość. Myśl że to Opatrzność wystawiła go na tę ciężką próbę, przyniosła mu pewną ulgę.

— Pani, rzekł, zwracając się po raz pierwszy do Maryi Anny, jakiekolwiek uczucia mogły wpłynąć na to co się stało, zasługujemy na surową naganę za to że pani cierpi z naszego powodu.

Zwróciła ku niemu twarz ożywioną jakimś łagodnym blaskiem.

— O! nie, bynajmniéj, odpowiedziała naiwnie.

Stefan nie wątpił że mówi prawdę, że pierwsze uderzenia tego młodego serca, stłumiły czasowo jéj moralne i fizyczne cierpienia, i to rozbudziło w jego sercu jakąś wielką, tkliwą i opiekuńczą litość dla biednéj dziewczyny.

— Mój Boże! zawołał donośnym głosem pan Bernard, czy to potrzeba tyle ceremonij, frazesów i spojrzeń, aby sobie powiedzieć otwarcie: kochamy się... więc się połączmy... tem więcéj że z tego będą zadowoleni wszyscy obecni w Mouguerre?

— Zastanów się pan, zawołał Stefan z żywością, poruszasz pan zbyt głośno przedmiot tak delikatny, kwestyę czysto osobistą. Nie zapominaj pan że to idzie o pannę de Fouzolle...że nie zapytano o jéj zezwolenie... że powinniśmy szanować jej wolę.

Matylda uśmiechnęła się mile do męża za to, że obudzając oburzenie Stefana, zmusił go poniekąd do wypowiedzenia słów tak stanowczych.

Rzeczywiście to poszanowanie jego dla wolnéj woli kobiety, zmieniło nagle postać rzeczy, czyniąc rozwiązanie téj kwestyi zależnem już nie od jego ale od jéj woli. Zawezwana do wydania stanowczéj odpowiedzi, pojmując dobrze doniosłość słów Stefana: „powinniśmy szanować jej wolę,“ Marya Anna wzniosła się duszą ku niebu, szukając tam światła i siły, a potem rzekła przytłumionym głosem.

— Jeżeli pan de Vambry, którego delikatność umiem ocenić, nie lęka się wziąść za towarzyszkę życia osobę chorą, ale która dziś wierzy w swoje wyzdrowienie, i która oddawszy mu już przyjaźń swoją, chętnie przyrzeka całe życie szczęściu jego poświęcić!... to z ufnością zgadzam się na postanowienie naszych matek.

Okrzyk radości wyrywający się z ust pani de Vambry, zagłuszył podziękowanie, już i tak niezrozumiale wyszeptane przez jéj syna.

XII.

Panu de Fouzolle przyszła szczęśliwa myśl zakończenia téj sceny, wprowadzeniem nowéj i całkiem nieznanéj osoby.

Tą osobą był mały i żwawy chłopczyk, schodzący na dół z wyżyn, z dzbankiem mleka na głowie. Miał nogi bose, ale narodową czapkę nasunął aż na oczy, i szedł tak żwawo po ostrych kamieniach, jakby po najmiększéj murawie.

— Hej!... chłopczyku! zawołał hrabia de Fouzolle.

Wszyscy wtenczas zwrócili oczy na chłopca. Gdy podniósł głowę do góry, i ukazał śniadą twarzyczkę z pałającemi oczyma, Stefan poznał w nim tego samego chłopca, którego już dwa razy spotkał na drodze. Czarny kozioł był i teraz przy nim; stojąc na skale spoglądał nieufnym wzrokiem na nieznane mu twarze.

— Czy nie chciałbyś nam sprzedać tego mleka? zapytał znów hrabia.

— Czemu nie, odpowiedział chłopczyk... jeżeli tylko dobrze zapłacicie.

— Ho! ho! czy nie wzbudzamy w tobie dosyć zaufania?

— O nie, tylko jeźli mi nie zapłacicie drożéj niż ten dla którego je niosę... to pójdę daléj.

Pan Bernard roześmiał się głośno. Podług niego, mały Baskijczyk trzymał się bardzo rozumnéj zasady, zasady któréj on sam zawdzięczał swój majątek. Wyjął z portmonetki srebrny pieniądz, a widząc że oczy chłopca silniéj zabłyszczały, pochwycił dzbanek, i zawołał stawiając go z miną tryumfalną przed margrabiną.

— Mleko zostało przysądzone więcéj dającemu.

Teraz szło już tylko o sposób zużytkowania zdobyczy. Skąd wziąść szklanki, lub choćby garnuszka? Chłopczyk śmiał się szczerze z tego ich kłopotu; jemu zdawało się to rzeczą tak naturalną napić się prosto ze dzbanka. W końcu jednak zlitował się nad nimi; przywołał kozła i odwiązał zawieszony na jego szyi niezgrabny drewniany kubek.

— Doskonały pomysł! rzekła Marya Anna. Jakże ci imię chłopczyku?

— Elissalde.

— Śliczne, prawdziwie biskajskie imię, rzekła, przedłużając rozmowę dla pokrycia wzruszenia.

— Gdzie mieszkasz? zapytała siadając pod krzyżem.

— W *Sant de Cloare*.

— Czy to ztąd daleko?

— O! tak! aż przy jeziorze.

— Przy jeziorze?... więc tu jest jezioro?... musi tam być bardzo pięknie, wszak prawda, panie de Vambry?

— Bardzo pięknie! powtórzył z roztargnieniem Stefan.

— Czy pan widział już to jezioro?

— Tak, pani.

— Może mnie pan zaprowadzi tam kiedy?

— Byłaby to zbyt daleka przechadzka.

— Szkoda! rzekła z wyrazem żalu, gdy tymczasem Stefan starał się ukryć jak dalece go drażniło wspomnienie téj poetycznéj miejscowości.

— Jakież masz zajęcie w górach? zapytała znów Marya Anna.

— Pasę kozy, przypędzam bydło wieczorem, roznoszę mleko które matka wysyła na sprzedaż, a czasem dopomagam przy śluzach.

Teraz i Stefan który dotąd unikał rozmowy, zadał mu pytanie cierpkim trochę głosem.

— Przy śluzach? Więc dozorca śluz jest tak słaby i niedołężny, że nie może podnieść stawideł bez twéj pomocy?

— Widać że pan nie zna Jana Berette, rzekł wzruszając pogardliwie ramionami. Gdyby pan wiedział jaki on silny i odważny, nie mógłby pan powiedzieć nic podobnego.

— Przecie sam przyznajesz że potrzebuje twéj pomocy.

— Ja pomagam jego matce! biedna staruszka przyzywa mnie zawsze wieczorem, kiedy Jan Berette udaje się w góry.

— I zapewnie przez wdzięczność Jan Berette daje ci cząsteczkę przemyconych towarów.

Elissald więcéj przeczuł jak zrozumiał że w tych słowach było coś nieprzyjaznego dla Jana Berette. Przygryzł usta, żałując że uniesiony zapałem dał do zrozumienia że dozór nad śluzami nie stanowi jego jedynego zajęcia.

Stefan niezadowolniony z rozmowy, z małego Baskijczyka i z siebie samego, zbliżył się do matki aby jej przypomnieć że już wieczór nadchodzi; powiedział to jednak bardzo cicho, czując jak dalece ta uwaga jest niewłaściwa w teraźniéjszem jego położeniu. Panie zawiesiły napowrót kubek na szyi kozła, spoglądającego na nie niezbyt przyjaźnie. Wszyscy mieli czas uspokoić się, a przynajmniéj zapanować nad swem wzruszeniem, nie było więc powodu ociągać się dłużej z powrotem.

Stefan podał śpiesznie rękę matce, pod pozorem że była znużona i odszedł z nią wyprzedzając innych. Jak tylko oddalił się o tyle że prócz niéj nikt nie mógł go usłyszeć, zawołał głosem przepełnionym goryczą:

— A! matko!... cóżeś zrobiła?

— Weź to, przeczytaj, rzekła, znajdziesz tu odpowiedź.

Wziął list Marjusza i przeczytał go dwa razy, jakby się nie mógł domyśléć jaki zachodzi związek pomiędzy zawartą w nim wiadomością a narzuconem mu położeniem.

— A! rozumiem, zawołał nakoniec ostrym i cierpkim głosem, mam pokutować za brata!

Zadrżała, i chwytając go za rękę, rzekła ze łzami w głosie:

— Niewdzięczny! zabezpieczyłam cię od wielkich cierpień, od męczarni dręczących ludzi zajmujących nasze stanowisko; od niedostatku i niepewnéj przyszłości!... Pokusy które zgubiły Marjusza, nigdy już do ciebie nie znajdą przystępu, i przynajmniéj o ciebie będę mogła być zupełnie spokojną.

— Matko, dotąd głównym celem, głównem pragnieniem mojem było zapewnić ci spokój i szczęśliwą starość, choćby za jakąbądź cenę; byłem szczerym w moich dla ciebie uczuciach, ale nie wiedziałem że to tak wiele kosztować może... Teraz już wiem, jednak...

— Jednak?...

— Nie cofam się.

— Drogi mój Stefanie!

— Dla tego że cię tak kocham, matko!... ale tylko dla tego.

— Więc tak wiele wyrządziłam złego chcąc ci zapewnić...

— Zapewnić mi... co takiego? Chorowite dzieci?... ognisko domowe nieogrzane ciepłem uczucia?... pozbawione wszelkiego uroku?...

— Stefanie! zakrwawiasz mi serce!

— Przebacz matko, jest to pierwszy i ostatni krzyk oburzenia... rozpaczy...

— Mój Boże! czy mogłam pomylić się do tego stopnia?

— Czegóż spodziewałaś się, biedna droga matko?

— Że zrozumiesz moje przerażenie po przeczytaniu listu Marjusza... moją obawę aby nie zawarł jakiegoś związku któryby i tobie mógł utrudnić ożenienie.

— W takim razie, sumienie nakazywało powstrzymać się właśnie od wszelkiego stanowczego kroku.

Pochyliła głowę czując słuszność tego wyrzutu.

— Myślałam tylko o tem aby cię uchronić od szkodliwych dla ciebie skutków szaleństw Marjusza, dać ci kochającą żonę... bo ona cię kocha .. i zapewnić... zapewnić... cóż chcesz! jestem także babką... i zapewnić, dzięki majątkowi i stanowisku jakie ci nada ten związek, los naszych sześciu sierot.

Pani de Vambry uczuła że ręka syna zadrżała silnie; dotknęła czułéj strony w tem szlachetnem sercu, i poprzestając na tem przerwała rozmowę. Reszta towarzystwa, rozweselona szczęśliwem zakończeniem tak silnie zajmującéj ich sprawy, szła opodal za nimi rozmawiając wesoło.

Marya Anna została rozmyślnie za innymi, na téj płaszczyźnie która była świadkiem najżywszych wzruszeń w jéj życiu. Pewna że jéj nikt nie widzi, objęła z dziecięcą ufnością rękami, piękny krzyż biały, którego ramiona zdawały się błogosławić całéj okolicy. Pochyliła głowę, i w pobożnem uniesieniu do stóp jego przycisnęła usta. Dla jéj chrześcijańskiéj duszy przeniknionéj najgłębszą wdzięcznością, ten krzyż nie był martwym znakiem, lecz symbolem miłosierdzia i czuwającéj zawsze Opatrzności.

— O! drogi krzyżu! rzekła zraszając go pełnemi słodyczy łzami, ty mi przyniosłeś szczęście. Pod twym cieniem zobaczyłam go po raz pierwszy!... Przy tobie zażądał méj ręki!... Tobie mogę wyznać jak bardzo jestem szczęśliwą!.. Czuwaj nademną i nadal!...

Pan de Vambry powróciwszy do Bayonny zamknął się natychmiast w swoim pokoju. Stan jego umysłu ci tylko mogliby zrozumieć dokładnie, którzyby jak on, byli zmuszeni wyrzec się nagle wszelkich najwięcéj usprawiedliwionych pragnień, i najmilszych marzeń. Miał dopiero dwadzieścia sześć lat... Na jakże to straszną przyszłość skazywano jego młodość?.., na jakież to śmiertelne odrętwienie skazywano wszelkie jego uczucia?..

Jakto? kiedy życie tak wesoło jeszcze uśmiecha się do niego, chciano by mu narzucić ciężkie obowiązki źle dobranego związku, a czerstwość i siłę jego połączyć z bezsilnością! Czyż ma zezwolić na to aby mu narzucono podejściem ten niemiły związek? Bo wszak może słusznie uważać to za podejście? Czy dla tego że z grubiańską szczerością nie zniweczył tego spisku ukrutego przeciwko swéj wolności, miałby być bezpowrotnie uwikłanym? Doprawdy byłoby to dziwne żądanie aby ktoś pozwolił narzucać sobie żonę, dla tego jedynie że nie odtrącił jéj od razu głośno i nielitościwie.

Dzięki Bogu, to nieznośne jego położenie zmieni się wkrótce. Zaskoczony niespodzianie, związany formami światowemi, wierząc w dobre chęci swych przyjaciół, mógł dać do zrozumienia że zezwala. Teraz miał czas zastanowić się nad tem; pełen niepokoju i jakiegoś upojenia wzrok panny de Fouzolle nie cięży już na nim; nie patrzy na łzy matki i nie słyszy jéj mówiącéj mu o ciężkich swych strapieniach z powodu Marjusza. Odzyskał wolność, i okaże to w sposób tak wyraźny, że nie przyjdzie już nikomu na myśl dziwaczny zamiar, połączyć jego kwitnącą młodość z powolnem konaniem Maryi Anny. Powie otwarcie... Co takiego?... Silny dreszcz przebiegł jego członki. To co chce powiedzieć zabije Maryę Annę, a matkę jego przywiedzie do rozpaczy.

Matka jego poświęcała się zawsze dla dobra dzieci; wiedział jak nieograniczoną była jej miłość dla nich; czyż nie powinien odwdzięczyć się jéj za to spełniając jéj życzenie? Czy miał prawo zakrwawić serce téj biednéj dziewczyny, którą jeżeli nie słowami to milczeniem utwierdził w mniemaniu że pragnie pozyskać jéj przywiązanie? Nie, bądź co bądź ona była niewinna, i nie powinna pokutować za innych.

Pomimo że nie był zarozumiałym, wiedział jednak jak silne wrażenie zrobił na tem młodem sercu, pod odrętwiałem pod wpływem fizycznych cierpień. On był pierwszym promieniem słońca ożywiającym tę wątłą istotę, i kiedy powiedziano jéj nierozważnie: „On będzie twoim mężem, on życzy sobie tego,“ byłoż to rzeczą godną uczciwego czło

wieka odpowiedzieć po nieczasie: „Uwierzyłaś temu, a ja pozwoliłem ci się łudzić, ale nie kocham cię, nie myślę ożenić się z tobą, i postanawiam oznajmić to tak wyraźnie, aby nikt nie mógł o tem wątpić.

Nie, nie, tak być nie powinno! Nie wiedział jakby w tak trudnym razie postąpił człowiek bez serca i bez wychowania, ale on nie czuł się usposobionym do tak brutalskiego postępku. Szalony gniew zawrzał wtenczas w sercu Stefana przeciwko zbytniej troskliwości macierzyńskiéj, natrętnéj życzliwości przyjaciół, oraz przeciwko wszelkim wpływom i uczuciom które go przywiodły do tak strasznego położenia.

Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu, wszyscy!... nawet ta piękna i dumna istota, która więcéj wpływała na jego bolesne wahanie, niż śmiał to wyznać nawet przed sobą. Wszakże Gracioza Irribery wyznała mu obojętnie na cmentarzu w Mouguerre, że jest narzeczoną Jana Berette...

Obojętnie?... Czy rzeczywiście powiedziała to obojętnie? Czy nie było czuć lekkiego drżenia w jéj głosie, zwykle tak czystym i pewnym? O! tak, teraz przypomina sobie że w głosie jéj czuć było jakieś wzruszenie!

Biedny Stefan zadrżał znowu.

Jakąż zmianę mogło przynieść w jego losie słabsze lub silniéjsze przywiązanie baskijskiéj dziewczyny dla jakiegoś przemytnika? Co za dziwaczny przeskok myśli, od Maryi Anny do Graciozy?

Gracioza!... piękność, siła, tajemnica, pokusa!

Marya Anna!... chorobliwość, bezsilność, rzeczywistość.

Stefan ukrył w dłoniach pałającą głowę, i poddał swe uczucia pod najsurowszy egzamin, na jaki tylko może się zdobyć sumienie ludzkie.

Przy takiem badaniu, człowiek prawy i chrześcianin znajduje w tajnikach swéj duszy olśniewające światło. Złudzenia nikną, kompromisy przedstawiają się ogołocone ze wszelkich sztucznych naciągań, powody objawiają się w całéj swéj nagości, a następstwa ukazują jasno i wyraźnie. Co do Stefana, człowiek próbował zagasić to przenikające światło, ale chrześcianin pragnął z niego skorzystać, i ta ciężka wewnętrzna walka przyniosła mu zwycięztwo, ale zwycięztwo bolesne, zroszone gorącemi łzami, w których zatonęły ostatnie objawy buntu jego zranionego serca.

Nazajutrz rano rzekł do pani de Vambry, która trawiona niepokojem oczekiwała na niego w ogrodzie, chodząc pod jego oknami:

— Matko, nie kocham panny de Fouzolle, ale oceniam jéj przymioty, i mam nadzieję że nie zawiodę jéj zaufania. Skoro ten związek jest niezbędnym do zapewnienia ci spokojnéj i szczęśliwéj starości, postanowiłem nie wyrzucać ci nigdy w przyszłości, że mnie poniekąd zmusiłaś do niego.

— Czy przynajmniéj nie bardzo cierpisz nad tem?

— Mam nadzieję że w końcu oswoję się z mojem położeniem.

— Przebaczasz mi że pomimo twéj woli starałam się zapewnić ci szczęście?

— Tak, bo cię kocham, droga matko.

— Wszak i Maryę Annę kochać będziesz?

— Będę przynajmniéj starał się ją kochać.

Pani de Vambry uściskała syna z upojeniem radości, oświadczając, że pomimo trosk jakich doznaje z powodu Marjusza, uważa się za bardzo szczęśliwą matkę.

XIII.

Na usilne prośby pani de Vambry, pułkownik 50-go pułku artyleryi udzielił młodemu oficerowi urlop na dwa miesiące. Stefan przyjął tę wiadomość tak jak był obecnie usposobionym przyjmować wszystko co go spotkać mogło, to jest: z milczącem poddaniem się swemu losowi. Należał do rzędu tych ludzi, którzy skoro już raz postanowią spełnić choćby najcięższą dla siebie ofiarę, nie dają tego uczuć otaczającym ich osobom. Co więcéj, nie mógłby czuć szacunku dla człowieka nie mającego dość mocy nad sobą aby ukryć że żałuje uczynionego postanowienia, lub też rozdrażnionego i wahającego się ciągle.

Nie można jednak wnosić z tego nienagannego spełniania nowych i trudnych obowiązków jakie na niego spadły, że i w duszy zapatrywał się już na nie spokojnie. Burza wrzała jeszcze, pod osłoną nakazanéj uprzejmości, i nawet w drobnych okolicznościach codziennego życia miał sposobność uczyć się panowania nad sobą.

Matka powiedziała mu że teraz powinien bywać codzień w Mouguerre, zastosował się do tego bez oporu, znajdując jakiś rodzaj cierpkiego zadowolnienia w przyzwyczajaniu się naprzód do przykrości jakich miał doznawać w swem zwichniętem życiu. Marya Anna budziła w nim tylko szacunek i szczerą litość, połączoną z mimowolną wdzięcznością za głębokie przywiązanie które odgadywał w jéj sercu. Patrzył z przyjemnością na polepszenie jéj zdrowia, z każdym dniem widoczniejsze, dzięki wewnętrznemu zadowolnieniu, wpływowi górskiego powietrza i staraniom Graciozy. Nawet jej twarz nie była już tak martwo bladą jak parę tygodni przed tem.

Piła z głęboką wiarą, wonne ziółka zbierane w górach, nosiła je zaszyte w płótno na piersiach, i sypiała na nich, a dziękując Graciozie powtarzała zawsze:

— Czuję to że ty mnie uzdrowisz!

Gracioza otaczała pannę de Fouzolle najtroskliwszą opieką, śledząc bacznie wszelkie objawy jéj cierpień pochodzące z rozwiniętéj anemii, aby je opanować i przezwyciężyć. Była to zacięta walka w któréj rozwijała całą energję i wytrwałość wrodzoną. Czy to że wdzięczność Maryi Anny była jéj szczególniéj miłą, czy też jakieś inne, nieznane powody skłaniały ją do pielęgnowania choréj tak troskliwie, ale to pewna że Gracioza dla rodzonéj siostry nie mogłaby się poświęcać więcéj. Przybiegała codzień raniutko do zamku, czekała na przebudzenie się Maryi Anny, ocierała pieszczotliwie spocone jéj czoło, i przyrządzała lekarstwa według baskijskiéj metody leczenia, to jest, składające się z kwiatów pyrenejskich, nasion, lub korzeni naniesionych na szczyty gór, przez wichry nawiedzające te okolice każdéj jesieni.

Gracioza nauczyła się od matki wyrabiać z nich napoje i balsamy, lekarstwa zewnętrzne i uśmierzające gorączkę. Takimi to prostymi środkami leczyła swą pacientkę, szczęśliwa że może przynieść ulgę przyjaciółce. Tak, przyjaciółce, bo te dziewczęta równe sobie wiekiem i szlachetnością serca, pokochały się szczerze pomimo różnicy zajmowanego przez nie stanowiska.

Jednak to przywiązanie tak szczere i wzajemne, nie skłaniało żadnéj z nich do ufnych zwierzeń. Jakieś niezrozumiałe dla niéj samej przeczucie, ostrzegało pannę de Fouzolle, że nazwisko pana de Vambry byłoby niewłaściwe w ich rozmowie, a skoro tylko Stefan ukazywał się w zamku, młoda Baskijka oddalała się pod jakimś pozorem. Nie chcąc okazać że unika tego spotkania, wymawiała się jakąś robotą w ogródku albo w domu, lub tłomaczyła się tem że potrzebuje odwiedzić kogoś ze znajomych lub chorych na wsi, i dla tego korzysta z chwili w któréj Marya Anna nie potrzebuje jéj opieki.

Stefan widywał teraz Graciozę tylko w obecności narzeczonéj lub pani de Fouzolle, i o ile dawniéj najmilszą mu była droga około jéj domku, o tyle teraz omijał ją starannie. Pewnego jednak dnia był zmuszony wracać do Bayonny przez Saint-Pierre, ponieważ towarzyszący mu pan Bernard, życzył sobie zobaczyć jezioro którego dotąd nie widział.

Pan Bernard, wiedziony do tego uroczego zakątka prostą ciekawością, jechał wolno pogwizdując wesoło, gdy przeciwnie Stefan towarzyszący mu jedynie przez grzeczność, napróżno usiłował przezwyciężyć ogarniający go smutek. Pewnego wieczora, niedawno jeszcze, przeznaczenie rzuciło go na tęż samą ścieżkę. w ślad za tajemniczą istotą o któréj myśléć zabraniał mu rozum, ale któréj wspomnienie przywoływała wyobraźnia, jako najponętniejsze w jego życiu. Kiedy on ukrywał się chcąc zbadać jéj tajemnicę, ona biegła w nocy nie zważając na niebezpieczeństwo, nie lękając się obmowy, opatrzyć ranę narzeczonego. Takim to sposobem dowiedział się zarazem o istnieniu, zajęciach i miłości Jana Berette. Ucierpiał wiele téj nocy!

A więc skoro już wiedział o tem, czemu nie patrzył obojętnie na miejsca które mu to przypominały? Kiedy nadewszystko dowiedział się że Gracioza i Jan zaręczeni w dzieciństwie, pobiorą się zapewnie wkrótce, jakiż to z jego strony dowód słabości że ta myśl taką przejmuje go jeszcze goryczą!

— Czy dość już napatrzyłeś się na jezioro, panie Bernard? zapytał z pewnem rozdrażnieniem.

Pan Bernard stojąc nad brzegiem wpatrywał się w wodę, jakby zachwycony jéj przejrzystością.

— Tak, odpowiedział: czy uważałeś pan jak obficie zarybione?

— Bynajmniéj. Wyznaję że całość krajobrazu..

— O! tak, krajobraz ładny!... ale patrz na te pstrągi! wierz mi, że to pstrągi!...

— Nie przeczę temu wcale.

— Muszę je miéć... Oho! nie mam zwyczaju pomijać dobréj sposobności. Zresztą, Matylda będzie z tego bardzo zadowolniona.

— Zkądże pan weźmiesz wędki lub sieci?

— Nie potrzebne mi wcale. Pójdę tą ścieżką do stojącego tam po drugiéj stronie domku dozorcy, i on mi dostarczy pstrągów.

— A jeżeli ich nie ma?

— O! tego nie można się obawiać; ci ludzie mają zawsze w pogotowiu dobrze zaopatrzone sadze.

— Ha! bardzo to być może. Idź pan, a ja tu zaczekam.

— Jakto, nie pójdziesz ze mną?

— Po co? Pan znasz się daleko lepiéj odemnie na rzeczach dotyczących się domowego gospodarstwa.

— Nie żartuj sobie z tego, panie Stefanie, wkrótce i tobie te wiadomości będą potrzebne.

— Skoro do tego przyjdzie, postaram się o ich nabycie, dziś poprzestanę na uznaniu staranności pana, a jeżeli życzysz sobie tego, mogę złożyć o niéj najchlubniejsze świadectwo przed panią Bernard.

— Więc zaczekasz tu na mnie?

— Z pewnością.

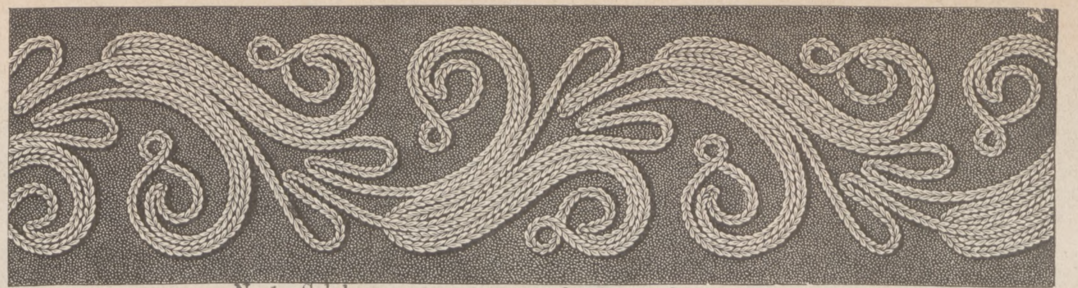
(d. c. n.)

Opis do N-ru 47.

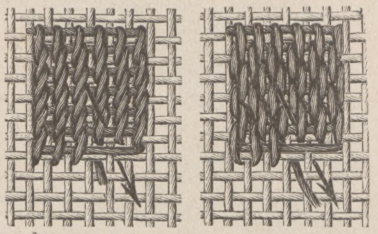
(Ciąg dalszy).

N. 14. Burnus z kapturkiem. Krój N. VI, Fig. 36-38a.

Burnus z popielatego mousse z niebieską lewą stroną, miał proste brzegi przodów podszyte listewką materyalną 4 cent. szeroką. Atłasowa podszewka w kapturku była fałdowana, a w górze kilka razy przemarszczona; w środku kapturek zeszywa się od 18—21, następnie podług kreskowanej linijki obiedwie połowy wykładają się na wierzch. brzegi od gwiazdki do 21 zeszywają się ze sobą, a od 21—20 z wierzchu łączą. Przy wykroju szyi kapturek razem z płaszczykiem obejmuje się atłasową listewką a brzegi wyłożenia podwójną wypustką Guziki atłasowe; przy kapturku frendzle marabutowa, naszyta wachlaszowo.



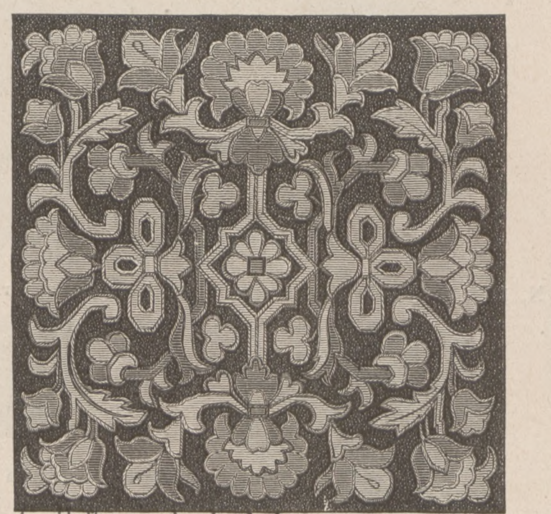
N. 1. Szlak wyszyty sutaszem, do płaszczyków, sukienek dziecinnych i t. p.



N. 5. Próbka śc. gobelin, do ryc. 1 i 6 (a) proste rzędy śc. (b) mijane.



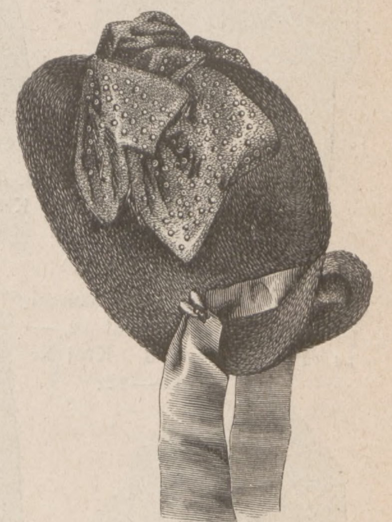
N. 2. Kapelusz z piór, formą toczka.



N. 4. Haft na poduszkę do kanapy na grubej kanwie.

N. 27 — 28. Szubki podszyte futrem, dla chłopców lat 8-10. Krój N. VII, Fig. 39—44.

Sukienna krótka szubka futrem podszyta, obłożona była w koło 5 cent. szeroko barankami krymskiemi, z których mankiety miały 11 cent. szerokości. Kieszenie mogą być przecięte i od spodu dodane a z wierzchu klapką futrzaną przykryte, lub też z wierzchu przystębnowane. Szubkę zapina się na kryte guziki, do których do zwierzchniej połowy przodu dodaje się od spodu, listewkę z dziurkami; z wierzchu dla ozdoby dają się trzy szmuklerskie agrafy, zapinane na baryłki. Szerokie plecy ściągnięte są paskiem 5—6 cent. szerokim, zapinanym na guziki i dziurki obrobione w patkach podłużnych, dodanych na ten cel na przodach.



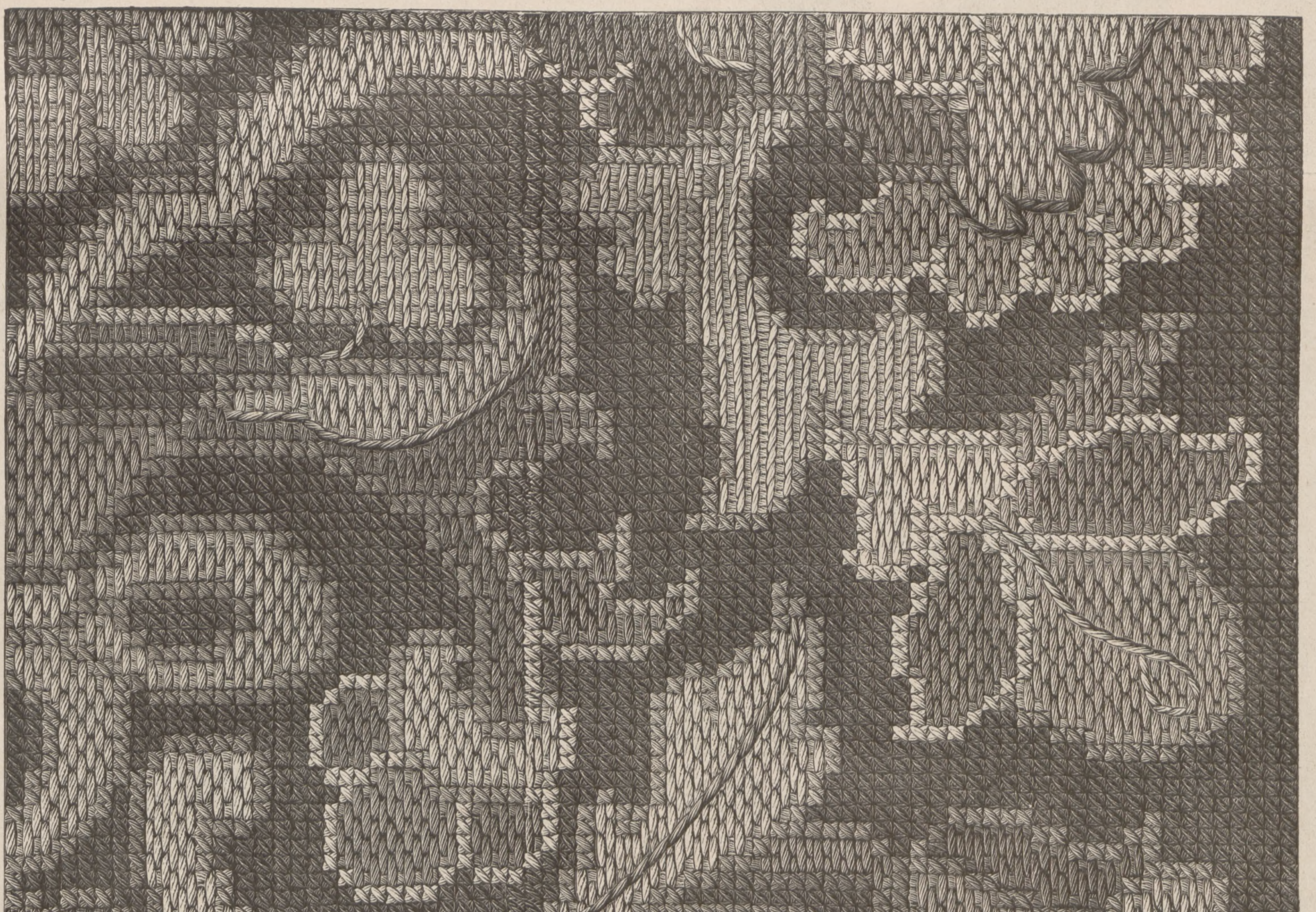
N. 3. Kapotka z bronzowego pluszu. Patrz ryc. 23 i 24.

N. 19 — 20. Paletocik z plecami z kilku części, dla dziewczynki lat 7—9. Krój na arkuszu z formami N. IV Fig. 23—29a.

Wszystkie szwy paletocika trzeba rozprasować i listewkami z flagstynsu podszyć a pod brzegi przodów dać listwy 6 cent. szerokie, pod dziurki i guziki. W mankietach tylko zwierzchnia połowa powinna być wcięta podług formy, część zaś spodnia ma brzegi równe; kieszenie składają się z dwóch jedna na drugą zachodzących części, z których zwierzchnia jest podobnie wycięta jak mankiet. Model paletocika był z materjału Double koloru piaskowego, oszyty pletnią wełnianą 1 cent. szeroką i sznurem jedwabnym, z którego na mankietach i na bocznych szwach pleców, 18 cent. od dołu, wszyte są ładne arabeski.

N. 30—31. Płaszczyk z rękawami krajanemi przy plecach. Krój N. IX, Fig. 53—56a.

Płaszczyk przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 30—31, odrobiony był z grubego i miękiego materyału przerabianego w drobne prążki; dół zdobiła frendzla 12 cent. szeroka z karbowanej plecionki i szneli, z nagłówkiem szerokiej torsady. Dolne części rękawów oszyte były frendzlą jedwabną 4 c. a górne 10 cent. szeroką, ozdobioną dwoma rzędami kwaścików. Szeroka pasmanterya z liści zakończona frendzlą sznelową, stanowi kołnierz, nad którym przyszyta jest jeszcze sutariusza z frendzli naśladującej pióra. W dolne drugie części rękawów, może być dla ozdoby dany reps jedwabny, jak to widziemy na ryc. 30. Na małym modelu formy. F. 53a — 56a, wskazujemy w jaki sposób mają być



N. 6. 1/4 część haftu na poduszkę ryc. 4. Patrz próbki ściegów ryc. 5.



N. 7. Paletocik z odcinanemi połami, dla panienki lat 12—14. Przód na ryc. 8. Krój Nr III, Fig. 16—22.

N. 9. Kaftanik bez rękawów. Krój N. XV Fig. 87.

N. 10. Duży, okrągły pluszowy kapelusz. Patrz przód na cyc. 11.

N. 12. Płaszczyk z rękawami prosto ściętemi. Patrz plecy na ryc. 13. Krój N. III, Fig. 36 do 38a.

N. 14. Burnus z kapturkiem.

N. 13. Płaszczyk z rękawami ściętemi prosto. Patrz ryc. 12. Krój na ark N. II Fig. 36-38a.

N. 11. Kapelusz okrągły pluszowy.

N. 34. Stanik z baskiną à panier do sukni r. 32.

N. 37. Dolman dla panienki lat 12—14. Patrz r. 38. Krój na ark. Nr. XII, Fig. 68—74a.

N. 20. Paletocik z plecami złożonemi z kilku części, dla dziewczynki lat 6—9. Plecy na ryc. 19. Krój N. IV Fig. 23—29a.

N. 19. Paletocik z plecami z kilku części, przód ryc. 20. Krój N. IV Fig. 23—29a.

N. 17. Czarny filcowy kapelusik dla chłopczyka.

N. 16a. Guzik z rozmaitych rodzajów konchy.

N. 5a. Guzik matowy z tłem emaljowanem.

N. 15b. Guzik z konchy perłowej inkrustowany złotem.

N. 16b. Modny guzik emaljowany w złote paski.

N. 10. Kapelusz filcowy dla chłopczyka.

N. 35. Paletocik oszyty futrem dla chłopca lat 6—8. Krój na ark. Nr. XIV, Fig. 82—86a.

N. 36. Paletocik z odcinaną baskiną. Patrz ryc. 27 w N. 47.

N. 21. Kapelusz filcowy otoczony piórami dla dziewczynki.

N. 23. Podpięcie kapelusza ryc. 3.

N. 25. Długi paletot z odcinanemi połami. Patrz plecy na ryc. 26.

N. 26. Długi paletot z dodaną częścią fałdowaną. Patrz ryc. 25. Krój na ark. N. I. Fig. 1—8.

N. 22. Kapelusz filcowy opasany sznurem, dla małej dziewczynki.

N. 24. Podpięcie kapelusza r. 3.

N. 8. Paletot z odcinaną baskiną dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 7. Krój na arkuszu Nr III, Fig. 16—22a.

N. 27—28. Kurtka futrzana dla chłopca lat 8—10. Krój na arkuszu Nr VII, Fig 39—44.

N. 29. Paletocik i kapelusik dla małej dziewczynki.

N. 30. Płaszczyk z rękawami idącemi od pleców. Patrz ryc. 31. Krój na arkuszu Nr IX Fig. 53—56a.

N. 32. Suknia z panier przedłużonem przy baskinie stanika. Patrz r. 34.

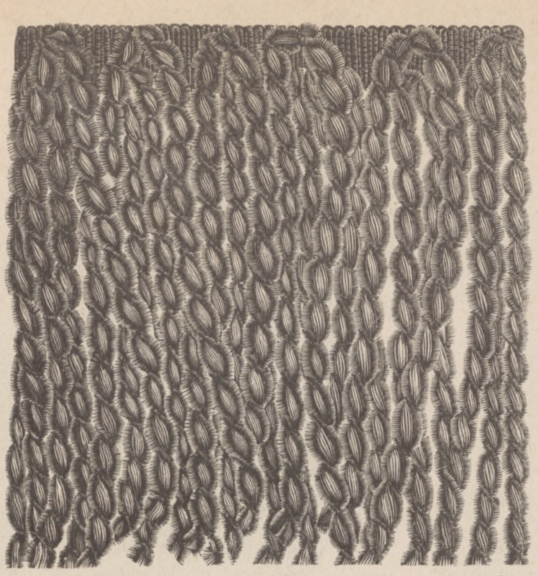
N. 33. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu Nr VIII Fig. 46—52.

N. 31. Płaszczyk z rękawami idącemi od pleców. Patrz ryc. 30.

N. 39—40. Paletocik dla dzieci lat 2—4. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 30—35.

N. 38. Płaszczyk dla panienki lat 12—14. Patrz rycina 37. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 68—74.

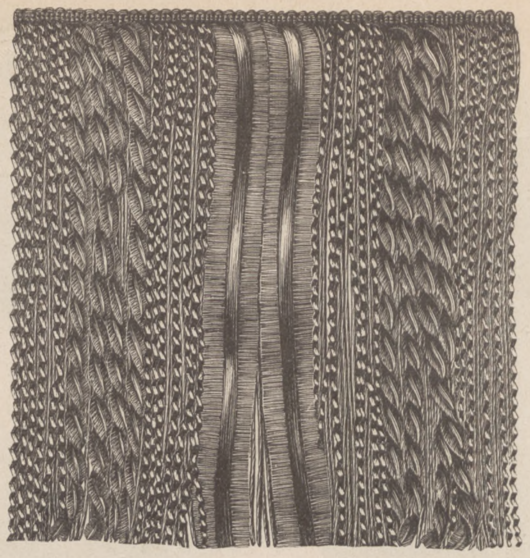
zeszyte wszystkie części płaszczyka. Tylne brzegi rękawów od Q do dołu są nie przyszyte, tylko wraz z dolnym brzegiem listewką 4 cent. szeroką od spodu przyszyte i luźno puszczone. Wykrój pachy od dwukropka do Q jest wstążeczką objęty, a wszystkie szwy rozprasowane i wstążeczką podszyte. Pod brzegi przodów daje się listwy z materyi, 8 cent. szerokie.



N. 41. Frendzlą sznelowa.



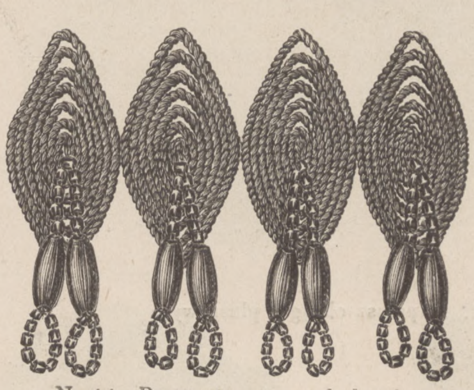
N. 43. Frendzla z grelotek.



N. 42. Frendzla ze szneli, jedwabiu i gładkiej plecionki.

N. 32 i 34. Ubranie z draperyą z panier, krajaną razem ze stanikiem.

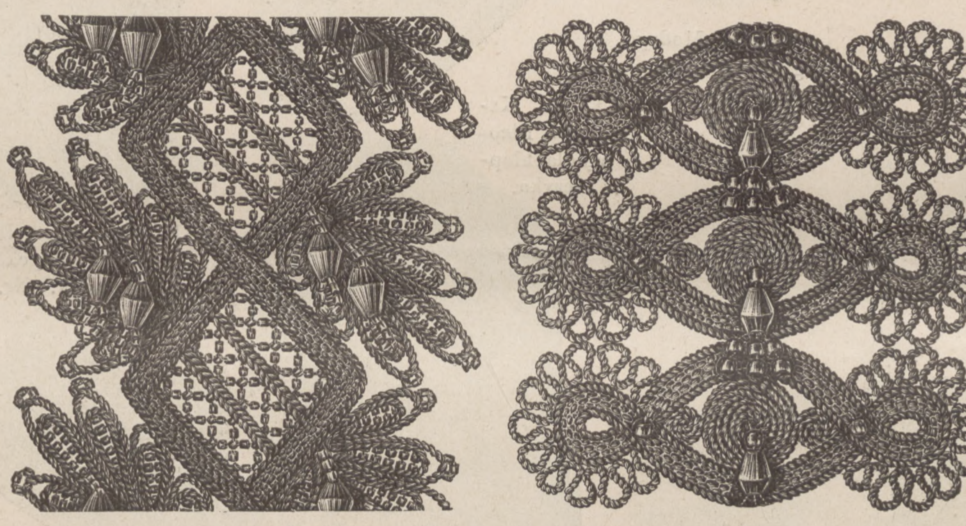
Suknia z ciemno zielonego indyjskiego kaszmiru ubrana była atłasem i frendzlą jedwabną. Stanik ukroić można podług każdej dobrej formy z długą baskiną dodając od dołu materyału na panier. Model miał z przodu 84, z tyłu 80 centym. długości; przody i boczki powinny być u dołu trochę zaokrąglone i frendzlą oszyte, a z boków przyfałdowane i z plecami zeszyte. Te ostatnie podpinają się w środku w 3 fałdy, przykryte kokardą. Przody stanika ozdobione są 18 cent. szerokiemi skosami atłasu, przemarszczanemi i naszytemi w sposób na ryc. 32 wskazany. Spódnica u dołu ogarnirowana plisowaną 26 cent. szeroką falbaną nad którą przyszyty 7 cent. szeroki nagłówek, wachlarzowo układany. Oprócz panier draperya na spódnicy ułożona jest z dwóch brycików 100 cent. długich a 37 szerokich oszyty 8 cent. szeroką plisą atłasową, z przodu od góry 30 cent. zeszytych dalej rozchodzących się a z bocznych brzegów przyfałdowanych. Środek przodu pokrywa draperya 60 cent. szeroka, kilka razy przemarszczona, a u dołu frendzlą oszyta. Z tyłu dodany zręcznie upięty bryt prosty. Kokardy ze wstążki repsowej 5 cent. szerokiej.



N. 44. Pasmanterya z grelotkami.



N. 47. Pasmanterya do naszycia na plecach okrycia.



N. 45—46. Pasmanterye jedwabne.

N. 35. Paletot watowany okładany futrem dla chłopczyka lat 6—8. Krój N. XIV Fig. 82—86a.

Plecy zeszywają się od 22 do gwiazdki, dalej lewa połowa obłożona futrem, zakłada się na prawą. Pasek z tyłu zapinany w stępie 12 cent. od wykroju pachy wszywa się między szwy boczne. Kieszonki i zapięcie przodów urządzić jak na rycinie 27. Z tyłu na kołnierzu piękne wyszycie z jedwabnego sznura.

N. 33. Płaszczyk długi z szerokiemi rękawami. Krój N. VIII, Fig. 46—52.

Płaszczyk z dubeltowego, czrnego indyjskiego kaszmiru, u dołu miał 12 centym. szerokie skunksowe obłożenie; rękawy oszyte sutą frendzlą ze ściecącej karbowanej włóczki, szneli i sznureczków perełek, z nadgłówkiem z torsady, 6 centymetrów szerokiej. Kołnierzyk futrzany. W boczkach z obydwóch brzegów zakłada się oznaczone na formie fałdy, zachodzące na zeszycie, które przez całą długość są zaprasowane, a w górze zamocowane listewką obejmującą boczki od gwiazdki do B. Wielkość kieszeni oznaczona jest na Fig. 47a.

N. 37—38. Dolman dla panienki lat 12—14. Krój N. XII, Fig. 68—74a.

Najpierw zeszywa się przody, boki i plecy dolmana, podług odpowiednich znaków; następnie spód i wierzch rękawów złączyć od v do w i wszyć do dolmana od q przez v, u, t do r; od r do x wszywa się tylny brzeg rękawa między szew pleców i boków. W miejscach oznaczonych gwiazdkami, łączą się wierzchy i spody rękawów z brzegu ze sobą. Ozdobę rękawów stanowi plisa z atłasową wypustką, od 5 do 10 cent. rozszerzona i rozetami z kwastami przypięta, i frendzla sznelowa 10 centymetrów szeroka. Guziki atłasowe.

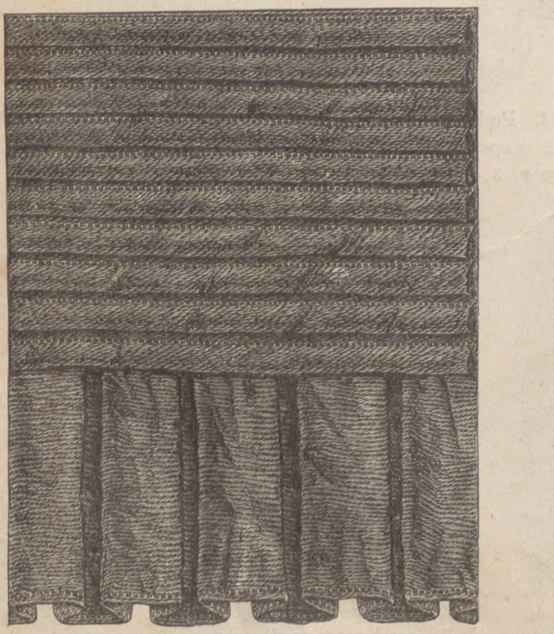
(dok. nast).



N. 48. Pasmanterya do naszycia na plecach okrycia.



N. 49. Szlak wyszyty łańcuszkiem.



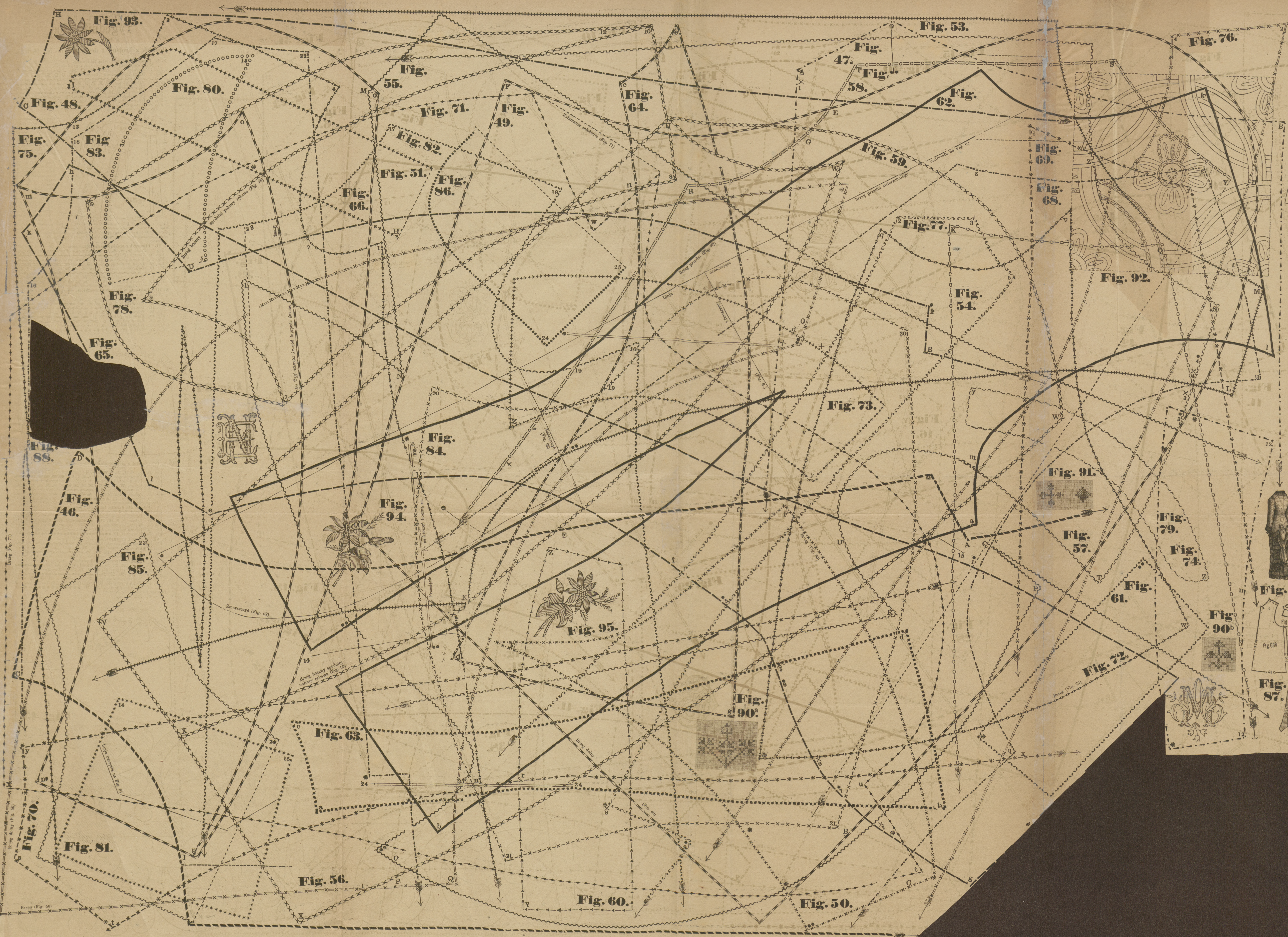
N. 50. Przybranie do spódnicy.



N. 51. Garnirunek do spódnicy.



N. 52. Plisowanie na spódnicy przedzielane wyszyciem



Tygodnik Mód

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

N. VIII. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Ryc. 33 w Nrze 47.
- Fig. 46. Przód (A, C, D, E, I, ✻, •, 1)
- Fig. 47. Boczek (A, B, G, ✻, ⁚, × 1 i × 2)
- Fig. 48. Połowa pleców (B, C, D, H, • 2)
- Fig. 49. Zwierzchnia połowa rękawa (B, D, E, F)
- Fig. 50. Spodnia połowa rękawa (E, F, G, ✻, ⁚)
- Fig. 51. Połowa paska do kołnierzyka (H, I)

Fig. 46a—51a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 46—51.

- Fig. 52. Plecy płaszczyka, ryc. 33 w Nrze 47.

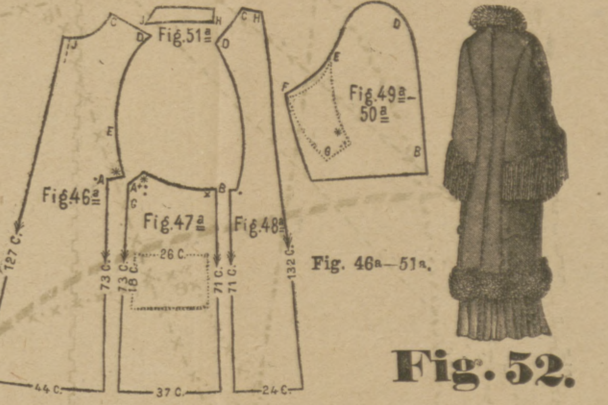


Fig. 46a—51a.

Fig. 52.

N. IX. Płaszczyk z rękawami idącemi od pleców. Ryc. 30—31 w Nrze 47.
- Fig. 53. Przód (K, L, M, ✻, ⁚)
- Fig. 54. Boczek (K, Q)
- Fig. 55. Połowa pleców wraz z rękawem (L, M, N, O, P, Q, ⁚)
- Fig. 56. Część dopełniająca rękaw (O, P, Q, ✻, ⁚)

Fig. 53a—56a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 53—56.

N. X. Bluza męzka. Ryc. 19—20 w Nrze 46.
- Fig. 57. Przód (R, S, T, U, Z, ✻, ⁚, +, • × 3 i • 3 do × 4 i • 4)
- Fig. 58. Połowa pleców (R, S, T, Y)
- Fig. 59. Rękaw (U, V, W, X)
- Fig. 60. Połowa kołnierza (Y, Z)
- Fig. 61. Klapka od kieszeni (✻, ⁚)

Fig. 57a—61a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 57—61.

N. XI. Stanik z przemarszczonemi przodami do ryc. 1 i 2 w Nrze 46. Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 33 w pasie.
- Fig. 62. Przód z odznaczeniem naddania materjału zwierzchniego (a, b, k, l, m, •, +)
- Fig. 63. Pierwszy boczek (a, b, c, d)
- Fig. 64. Drugi boczek (c, d, e, f, g)
- Fig. 65. Połowa pleców (e, f, g, h, i, k, l, ✻, • 5 i × 5 do • 7 i × 7)
- Fig. 66. Rękaw (m, n, o, p)
- Fig. 67. Suknia ryc. 1—2 w Nrze 46 przedstawiona z boku.

N. XII. Dolman dla panienki lat 12—14. Ryc. 37—38 w Nrze 47.
- Fig. 68. Przód (q, s, t, u, v, z)
- Fig. 69. Boczek (q, r)
- Fig. 70. Połowa pleców (r, s, t, x, y)
- Fig. 71. Zwierzchnia połowa rękawa (t, u, v, w, x, ✻) 1 założenie
- Fig. 72. Spodnia połowa rękawa (q, v, w, ✻)
- Fig. 73. Połowa kołnierza (y, z)
- Fig. 74. Połowa paska do szyji (y, z)

Fig. 68a—74a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 68—74.

N. XIII. Vêtement dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 25—26 w Nrze 46.
- Fig. 75. Przód (1, 3, 4, 7, 13, 14)
- Fig. 76. Pierwsza część pleców (1, 2, 4, 15)
- Fig. 77. Druga część pleców (2, 3, 5, 6, × 8 i • 8)
- Fig. 78. Rękaw (7, 8, 9, 10, 11, 12)
- Fig. 79. Wykład do rękawa (11, 12, ✻)
- Fig. 80. Połowa kołnierza (5, 13)
- Fig. 81. Kieszeń (14, 15)

Fig. 75a—81a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 75—81.

N. XIV. Paletot dla chłopca lat 6—8. Ryc. 35 w Nrze 47.
- Fig. 82. Przód (16, 17, 18, 19, 23, 24, 25)
- Fig. 83. Połowa pleców (16, 17, 18, 22, ✻)
- Fig. 84. Rękaw (19, 20, 21)
- Fig. 85. Połowa kołnierza (22, 23)
- Fig. 86. Połowa kieszeni (24, 25)

Fig. 82a—86a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 82—86.

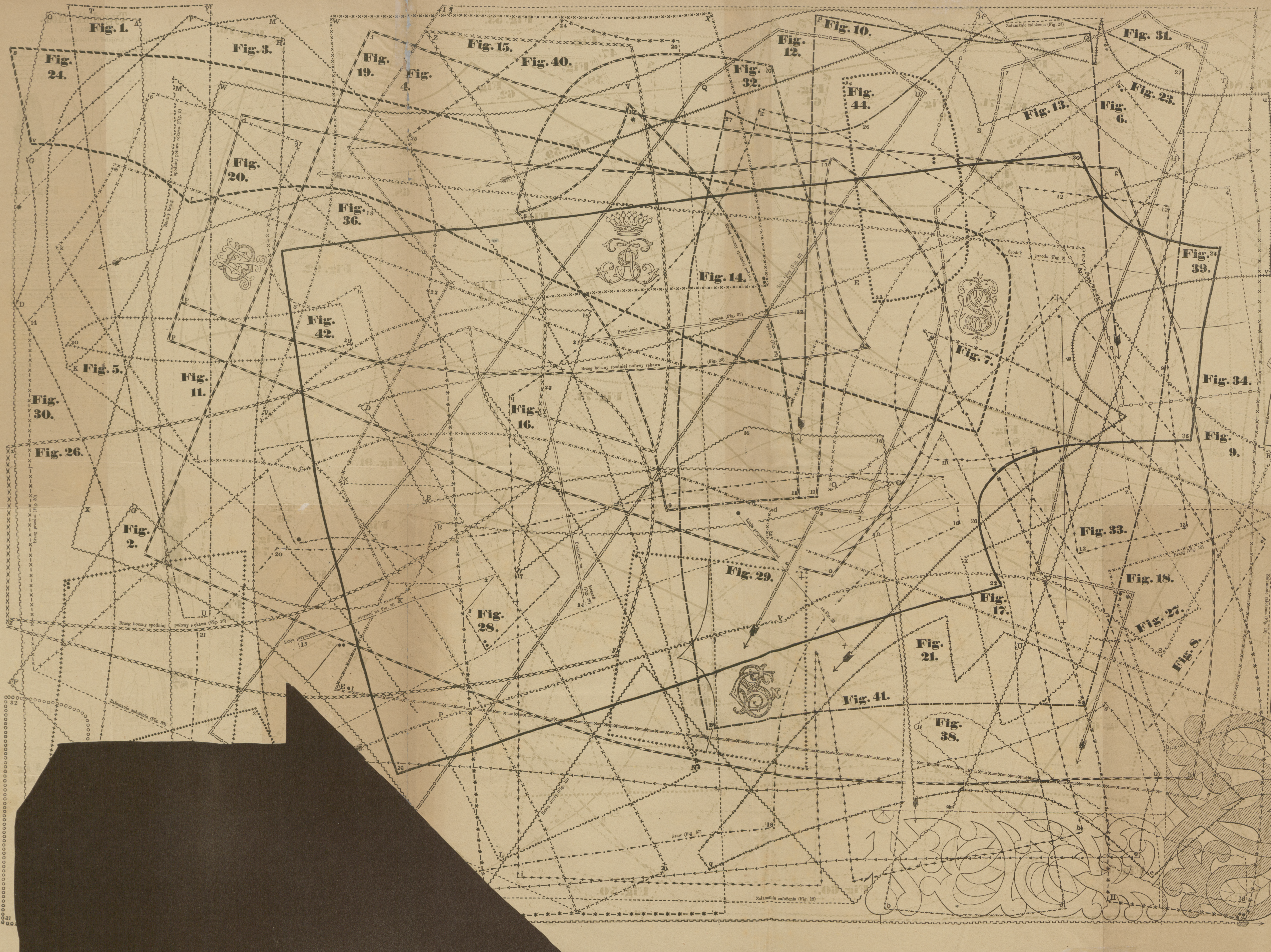
N. XV. Stanik bez rękawów. Ryc. 9 w Nrze 47.
- Fig. 87. Wskazanie kroju połowy stanika podług kroju Nr. VII na arkuszu poprzedzającym, do Nr. 44 i 45.

Desenie do ryc. 4, 6, 14 i 24 w Nrze 46.
- Fig. 88. Gałązka na haft płaski do ryc. 6.
- Fig. 89. Szlak szeroki
- Fig. 90a i 90b. Dwa rzuciki
- Fig. 91. Rzucik na tło

(Fig. 89—91:) Ścieg krzyżykowy do serwety ryc. 4.
- Fig. 92. Część haftu do ryc. 14.
- Fig. 93—95. Trzy gałązki do ryc. 24.



Fig. 53a—56a. Fig. 57a—61a. Fig. 67. Fig. 68a—74a. Fig. 75a—81a. Fig. 82a—86a.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

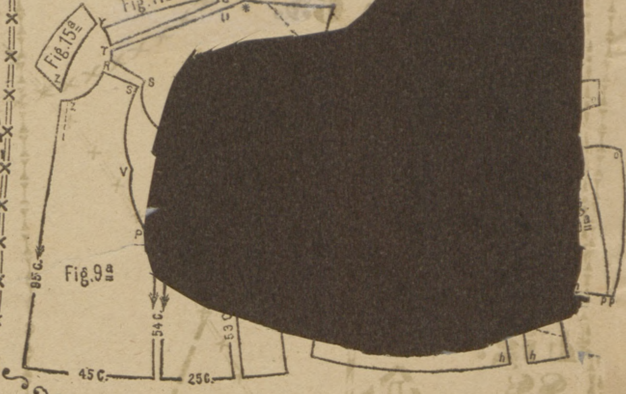
N. I. Paletot z dodaną częścią fałdowaną. Ryc. 25—26 w Nrze 47.
Miara objętości przez połowę: 46 cent. w gorsie, 52 w biodrach.
Fig. 1. Pierwsza część przodu (A, O, ✻)
Fig. 2. Druga część przodu i boczek (A, B, C, D, E, F, G, K, +, •)
Fig. 3. Połowa pleców (D, E, F, G, H, I)
Fig. 4. Połowa części fałdowanej (E, I. ✕ 1 i • 1 do ✕ 2 i • 2)
Fig. 5. Rękaw (K, L, M, N)
Fig. 6. Połowa spodniego kołnierza (H, O, :)
Fig. 7. Połowa zwierzchniego kołnierza (H, ✻, :)
Fig. 8. Klapka do kieszeni (+, •)
Fig. 1a—8a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—8.


Fig. 1a—8a.

Paletot z popielatego materjału w pasy, przedstawiony na ryc. 25, ozdobiony jest rzędami stębnówki i dużemi ciemnemi guzikami; na ryc. 26 widzimy paletot obłożony skunksami. Fig. 1-8 podaje krój w naturalnej wielkości a zestawienie części ułatwia format zmniejszony Fig. 1a—8a, na którym wypisane są całkowite miary długości i szerokości. Krótkie plecy dopełnia oddzielna część sfałdowana podług wzoru, której brzeg górny przyszywa się do pleców od I do E. Po zszyciu Fig. 2 od B do C, części przodów łączą się z sobą a następnie z plecami od F do G, a od E do dołu. Fig. 6—7 załącza kołnierz wykładany wraz z przedniemi brzegami paletota; zwierzchnia część kołnierza przysłania przyszycie spodniej od O do A; po złączeniu części z sobą podług odpowiednich znaków, górny brzeg paletota wpuszcza się w środek między brzegi kołnierza i przestębnowywa od dwukropka do gwiazdki.

N. II. Płaszczyk z prosto ściętemi rękawami. Ryc. 12—13 w Nrze 47.
Fig. 9. Przód (P, R, S, V, Z)
Fig. 10. Boczek (P, Q)
Fig. 11. Połowa pleców (T, U, Y)
Fig. 12. Część dopełniająca plecy (Q, U, ✻)
Fig. 13. Zwierzchnia część rękawa (R, S, T, U, V, W, X, :, ✻) 1 założenie
Fig. 14. Spodnia część rękawa (V, W, X, :)
Fig. 15. Połowa kołnierza (Y, Z)
Fig. 9a—15a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 9—15.

N. III. Paletocik z dodanem karoczkiem, dla panienki lat 12—14. Ryc. 7—8 w Nrze 47.
Miara objętości przez połowę: 43 cent. w gorsie, 50 w biodrach.
Fig. 16. Przód (a, b, i, k, l, m, q)
Fig. 17. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 18. Połowa pleców (c, d, e, f, g, h, k, l) 1 założenie
Fig. 19. Karoczko (g, h, i, ✻, :)
Fig. 20. Rękaw (m, n, o, p)
Fig. 21. Połowa kołnierza (e, q)
Fig. 22. Kieszeń (✻, :)
Fig. 16a—22a. Zmniejszony format zestawionych razem częś … 22.


Fig. 9a—15a.

N. IV. Paletot z plecami z kilku części, dla dziewczynki lat 7—9. Ryc. 19—20 w Nrze 47.
Fig. 23. Przód (r, u, v, w, :, •, +) 1 założenie
Fig. 24. Pierwsza część pleców (r, s, t, v)
Fig. 25. Druga część pleców (s, t, u, ✻)
Fig. 26. Rękaw (w, x, y, z)
Fig. 27. Połowa mankieta (x, z)
Fig. 28. Połowa kołnierza (:, ✻)
Fig. 29. Kieszeń (•, +)
Fig. 23a—29a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 23—29.

N. V. Paletot dla dziecka lat 2—4. Ryc. 39—40 w Nrze 47.
Fig. 30. Przód (1, 2, 3, 6, 7, 8, 14, 15) 1 założenie
Fig. 31. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, ✻, ✕ 3 i • 3)
Fig. 32. Rękaw (8, 9, 10, 11)
Fig. 33. Wykład do rękawa (9, 12, 13)
Fig. 34. Połowa kołnierza (4, 14)
Fig. 35. Kieszeń (2, 15)

N. VI. Burnus z kapturkiem. Ryc. 14 w Nrze 47.
Fig. 36. Połowa burnusa (16, 17, 18, 19)
Fig. 37. Połowa kapturka (18, 19, 20, 21, ✻)
Fig. 38. Połowa paska (18, 19)
Fig. 36a—38a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 36—38.

N. VII. Kaftanik futrzany dla chłopca lat 8—10. Ryc. 27—28 w Nrze 47.
Fig. 39. Przód (22, 23, 24, 25, 26, 30, 31, 32, 33, 34)
Fig. 40. Połowa pleców (22, 23, 24, 25, 29)
Fig. 41 Rękaw (26, 27, 28)
Fig. 42. Połowa paska do szyji (29, 30)
Fig. 43. Patka boczna (31, 32)
Fig. 44. Patka przy kieszeni (33, 34)

Desenie do ryc. 10 w Nrze 46.
Fig. 45. Szlak.

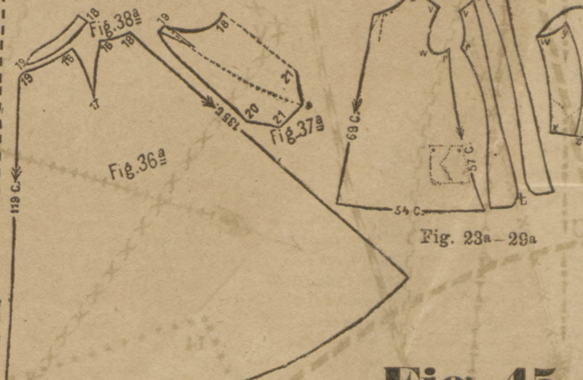

Fig. 36a—38a.


Fig. 45.